KAROL MAY

DŻEBEL MAGRAHAM

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZEJ „ORIENT” R.D.Z. W WARSZAWIE, WARSZAWA
1926

ULED AYUNI

Beduini stali nieruchomo około dwóch minut. Widocznie rozmawiali o nas. Chwilami dobiegał głośniejszy okrzyk zdumienia czy podniecenia. Nie spodziewali się tutaj nikogo spotkać, toteż nasza obecność, a szczególnie harda postawa, wprawiła ich w zdumienie. Trzej Beduini na pewno uciekliby przed taką przewagą. Jeśliby nawet zostali, nie zsiedliby z koni, aby w każdej chwili móc uciec. Nasza zatem postawa, spokojna i nieruchoma, była dla nich zagadką; czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widzieli. Mogli to sobie tłumaczyć tylko tym, że nie są nam obcy i że nie mamy powodu ich się lękać. Ale oni wszak nas nie znali i nigdy nie spotkali. Tylko jednego byli pewni i właśnie pod tym względem ogromnie się pomylili, nie wątpili, że jesteśmy muzułmanami. Świadczyło o tym ich powitanie. Prawowierny mahometanin nigdy nie przywita innowiercy przez „Sallam aaleikum", nawet prawo zabrania innowiercy używać tego powitania w stosunku do wiernego. A teraz oto czarnobrody przywódca zbliżył się o kilka kroków, położył rękę na sercu i zawołał:

— Sallam aaleikum, ichwani! Błogosławieństwo z wami, moi bracia!

— Sal–aal! — odpowiedziałem krótko.

Wypowiadając tylko dwie pierwsze zgłoski powitania, okazywałem dowód niechęci. Udając, że tego nie spostrzega, ciągnął dalej:

— Kef sahhatak? Jakże się masz?

Odpowiedziałem obcesowo:

— Ente es beddak? Min hua? Czego chcesz? Kim jesteś?

Pytanie to naruszało reguły uprzejmości. Chwycił też natychmiast za kolbę flinty i odparł:

— Jak śmiesz zadawać takie pytania? Czy przybyłeś z krańca świata, że nie wiesz jak się należy zachowywać? Wiedz, że nazywam się Farad el As–wad i że jestem naczelnym szejkiem Uled Ayunów, władców tej ziemi, na której ty, obcy, stoisz. Wkroczyłeś, nie pytając o nasze pozwolenie, a zatem zapłacisz przewidzianą karę.

— Ile wynosi?

— Sto tuniskich piastrów i sześćdziesiąt karubów od osoby.

Stanowiło to po pięćdziesiąt jeden marek na każdego z nas.

— Jeśli chcesz mieć piastry, to weź je sobie sam — rzekłem, podnosząc strzelbę i kładąc na wygiętej ręce.

Ten ruch oznaczał zdecydowaną odmowę.

— Usta masz wielkie jak hipopotam — roześmiał się szyderczo szejk — ale mózg twój wydaje się mniejszy od mózgu plugawego dżerada*. Jak brzmi twoje imię i imiona twoich towarzyszy? Czego sobie życzą? Jakie jest ich pochodzenie i czy ojcowie ich mieli imiona, które nie utonęły w falach zapomnienia?

Ostatnie pytanie, według tutejszych poglądów, było ciężką obelgą. Odezwałem się więc:

— Zdaje się, żeś wynurzał swój język w nieczystościach waszych wielbłądów i owiec, skoro wymawiasz tak cuchnące słowa. Jestem Kara ben Nemzi z krainy Almanów. Mój przyjaciel z prawej strony jest sławnym Behluwan–bejem z krainy Inkelis, a bohater po mojej, lewicy to Winnetou el Harbi w' Nazir*, naczelny wódz wszystkich plemion Apaczów w wielkim Belad el Amerika. Jesteśmy przyzwyczajeni płacić mordercom kulami, a nie pieniędzmi. Powtarzam: jeśli chcesz mieć piastry, weź sobie.

— Twój rozum jest jeszcze mniejszy, niż sądziłem! Czy nie stoi tu nas czternastu dziarskich i odważnych mężów, podczas gdy was jest trzech? A zatem, każdy z was byłby pięciokrotnie zabity, zanim by zdążył jednego z nas położyć.

---

* Szarańcza

* Wojownik i zwycięzca

— Spróbujcie! Nie zdążycie podejść na trzydzieści kroków, o pożrą was nasze kule.

Wśród Beduinów rozległ się gromki uśmiech. Nie myślcie, że chciałem się tylko popisywać słowami. Nie! Jak niegdyś greccy bohaterowie rozpoczynali zapasy szermierką słowną, tak samo Beduini mają zwyczaj przed walką poniżyć przeciwnika. Nie żałują oczywiście języka. Jeśli wyrażałem się o nas nieco chełpliwie, czyniłem to zgodnie z tutejszym zwyczajem. Szyderczy śmiech Uled Ayunów nie rozgniewał mnie bynajmniej, należał do przyjętych form. Skoro przebrzmiał, szejk podjął groźnym tonem:

— Mówisz o mordercach! Rozkazuję, abyś powiedział, kogo masz na myśli!

— Nie możesz rozkazywać, tym bardziej że o was myślałem, mówiąc o mordercach.

— My jesteśmy mordercami? Daj dowód, ty psie!

— Za wyzwisko ukarzę cię, jako tu stoję, jeszcze przed modlitwą wieczorną. Zapamiętaj to sobie! Czyście nie zamordowali tego starca, którego szczątki leżą przed nami?

— To nie było morderstwo, ale zemsta krwi.

— A następnie zakopaliście tę niewiastę w ziemi. Starzec i niewiasta nie mogli się bronić, dlatego podnieśliście na nich rękę, wy tchórze! Ale nas dotknąć, nie starczy wam odwagi.

W odpowiedzi usłyszałem ponowny, tym razem głośniejszy śmiech. Szejk rzekł szyderczo:

— Zbliżcie się i okażcie waszą odwagę, szakale, synowie szakali, synowie synów szakali! Nie odważycie się! Zatrzymaliście się tam, ponieważ wiecie, że możecie być przez nas pogromieni. Ale gdy do was podejdziemy, weźmiecie nogi za pas i będziecie wyć jak psy, które się smaga!

— Zbliżcie się tylko! Jest was pięciokrotnie więcej niż nas, a zatem mniej wam trzeba odwagi, aby napaść na nas. Mówisz o ucieczce. Powiadam, to wy pokażecie tyły, ale nikomu z was nie uda się uciec. Zważcie dobrze to, co wam mówię! Popełniliście na tym miejscu przestępstwo, które musimy ukarać. Jesteście naszymi jeńcami. Kto będzie próbował uciec, tego zastrzelę na miejscu. Zsiadajcie z koni i oddajcie broń!

Wybuchli homerycznym śmiechem i nawet przypuszczam, uważali mnie za wariata. Tak przynajmniej sądził szejk.

— Allach odebrał ci resztkę rozumu. Twoje pudło mózgowe jest puste! — zawołał. — Czy mam je na dowód otworzyć?

— Nie kpij! Przyjrzyj się, jak spokojnie i pewnie stoimy wobec waszej przewagi. Czy nie jesteśmy pewni naszej sprawy? Powtarzam: strzeżcie się ucieczki, gdyż zawrócą was nasze kule.

Wówczas brodacz zwrócił się do swoich:

— Ten pies zdaje się mówić poważnie i bajdurzy o swoich kulach. W naszych lufach też tkwią nie najgorsze. Podarujcie je tym psom, a potem ławą na nich!

Pociągnął za cyngiel, a za nim jego ludzie. Rozległo się dwanaście wystrzałów, ale wszystkie chybiły. Żadna kula nie drasnęła nawet naszej odzieży, aczkolwiek staliśmy nieruchomi i wyprostowani. Zdumienie, wywołane naszą nieustraszoną postawą, wprawiło ich w osłupienie. Wówczas Emery wystąpił o kilka kroków naprzód i zawołał potężnym głosem:

— Czy widzieliście, jak celnie strzelacie? Staliśmy bez trwogi, ponieważ byliśmy pewni, że jedynie przez przypadek moglibyście nas ugodzić. Teraz pokażemy, jak my strzelamy! Tam oto stoi dwóch z dzidami. Niech jeden podniesie dzidę, abym mógł w nią trafić!

Beduin podniósł dzidę, ale widząc, jak Emery celuje, opuścił ręce i zawołał:

— O Allach, Allach! Co mu też przyszło na myśl! Mierzy w moją dzidę, a ugodzi we mnie.

— Tchórz cię obleciał! — roześmiał się Anglik. — Zsiadaj z konia i wsadź pikę w ziemię. A potem zmykaj, abym cię nie trafił!

Beduin posłusznie wykonał polecenie Emery'ego. Anglik przyłożył strzelbę, celował nie dłużej niż przez mgnienie oka i spuścił kurek. Dzida została ugodzona tuż pod żelaznym ostrzem. Był to mistrzowski strzał.

Uled Ayuni skupili się dookoła dzidy, aby się naocznie przekonać o celności strzału. Żaden nie wymówił głośno słowa, szeptali tylko, podziwiając jego perfekcję.

Winnetou zapytał mnie:

— Mój brat prawdopodobnie również pokaże swój strzał?

— Tak — odparłem. — Chcę Ayunów schwytać bez rozlewu krwi, muszę przeto dowieść, że nie zdołają umknąć.

— W takim razie niech milczy srebrna strzelba Winnetou. Ale czy ci ludzie używają tomahawków?

— Nie. Będą zdumieni, gdy zobaczą tomahawk.

— Dobrze! Nie umiem przemówić w ich języku, a zatem niech brat mój oznajmi, że ja swoim tomahawkiem dokładnie przepołowię dzidę, tkwiącą w ziemi.

Beduini nie zdążyli jeszcze ochłonąć ze zdumienia, gdy zawołałem:

— Odejdźcie od dzidy! Ten mój towarzysz posiada broń, jakiej nie widzieliście nigdy. Jest to balta el kital*, którym rozpłata się głowy i który w rzucie dościga każdego uciekającego roga. Przekonacie się naocznie!

Beduini cofnęli się. Winnetou zrzucił z siebie długi burnus, wyciągnął zza pasa tomahawk i unosząc kilkakrotnie nad głową, wypuścił z ręki. Topór pędził, wirując dookoła siebie, z początku na dół, później zaś, dotknąwszy ziemi, wzniósł się szybko i raptownie w górę, wirował, zakreślając łuk, i znów opuścił się, aby trafić w drzewce dzidy akurat pośrodku i przekroić niczym brzytwa.

Fakt, że dzida została trafiona z takiej odległości w oznaczonym miejscu, wzbudził podziw Uled Ayunów. A że był to topór, bardziej jeszcze wzmogło się ich zdziwienie. Ale najbardziej niepojęty był dla nich wirowy ruch tomahawka i droga, którą przebiegał do celu. Po prostu oniemieli ze zdumienia.

I oto zdarzyło się coś, co jeszcze bardziej ich zdziwiło, mianowicie Winnetou, położywszy srebrną strzelbę na ziemi, poszedł po tomahawk. Skierował się wprost ku Beduinom, kroczył między nimi aż do miejsca, gdzie leżał topór, podniósł go i wrócił tą samą drogą, nie zaszczyciwszy spojrzeniem żadnego z wrogów. Wytrzeszczyli oczy, rozdziawili gęby i utkwili w nas oniemiałe spojrzenie.

— To był postępek nader odważny! — rzekłem do Apacza.

— Phi! — wydął pogardliwie wargi.— To nie są wojownicy. Nie naładowali nawet strzelb, z których poprzednio wystrzelili.

— Ale gdyby cię chcieli schwytać?

— Mam przecież pięści i nóż, a ty swoim sztucerem utorowałbyś drogę.

Taki był Winnetou, zuchwały i jednocześnie chłodny, a zawsze pełen rozwagi. Pragnąc nie dopuścić, aby Beduini ocknęli się z oszołomienia, zawołałem:

— Hai ia radżal! Baczność, chcę wam pokazać czarodziejską broń. Wetknijcie w ziemię drugą dzidę!

Usłuchali. Wziąłem sztucer do ręki i dodałem:

— Ta broń strzela bez przerwy, nie trzeba jej ładować. Przedziurawię dzidę dziesięcioma kulami w odstępach dwóch palców. Uważajcie!

Wycelowałem i strzelałem, po każdym strzale obracając wielkim palcem bęben z ładunkami. Oczy wszystkich wpiły się we mnie z natężeniem. Gdy po dziesiątym strzale opuściłem broń, Beduini podbiegli do dzidy. Nie zważałem na okrzyki, które stamtąd się rozlegały. Ukradkiem wsunąłem do sztucera dziesięć nowych patronów, aby później, gdy zajdzie potrzeba, rozporządzać wszystkimi dwudziestoma pięcioma strzałami.

Kule przestrzeliły dzidę w ściśle określonych przeze mnie odstępach. Uznany zostałem niemal za czarodzieja, pragnąc zaimponować jeszcze bardziej, zawołałem:

---

* Topór

— Wyciągnijcie dzidę i o sto pięćdziesiąt kroków dalej wetknijcie w ziemię! Mimo takiej odległości dwiema kulami złamię dzidę na trzy części! Dzida wyglądała z dala jak cieniutka trzcinka. Pomysł był zuchwały, ale znałem swą broń i mogłem na niej polegać. Podniósłszy ciężką niedźwiedziówkę, przyłożyłem ją do ramienia i wycelowałem. Dwa wystrzały — i tylko trzecia część dzidy tkwiła w ziemi. Uled Ayuni pomknęli do niej. Złożyłem na ziemi niedźwiedziówkę, chwyciłem sztucer i zawołałem do Emery'ego i Winnetou:

— A teraz za nimi, aby nie wymknęli się z promienia celnego strzału! Winnetou, który nie zna ich języka, niech zważa na broń i konie Ayunów!

Zostawiwszy kobietę z dzieckiem na miejscu, w okamgnieniu pobiegliśmy za Uled Ayunami. Zbliżyliśmy się do nich na pięćdziesiąt kroków, nie budząc ich podejrzliwości.

Ułomki dzidy przechodziły z rąk do rąk. Zdumieniu nie było końca. Szejk odwrócił się i krzyknął do nas:

Diabeł jest waszym sprzymierzeńcem! Strzelacie, nie ładując broni, a kule wasze biegną na dziesięciokroć większą odległość niż z naszych strzelb.

— A jednak zapomniałeś o rzeczy najważniejszej — odparłem. Z waszych kul żadna nie trafiła, nasze trafiły wszystkie. Nie dość tego. Celowaliście w silnych, dużych mężczyzn, my zaś strzelaliśmy w cienką, słabą dzidę. Powiadam wam, żadna nasza kula nie pójdzie na marne! Czy wiesz, w jakim czasie dałem dziesięć wystrzałów?

W ciągu tyluż uderzeń serca..

A więc ile czasu wymaga czternaście strzałów?

— Czternaście uderzeń serca.

— Słusznie! Otóż każdy wystrzał trafi w jednego z was.

— Ia Allach, ia Rabb! O Boże, o Panie! Czy istotnie chcesz nas powystrzelać?

— Jedynie w tym wypadku, jeśli nas do tego zmusicie. Oświadczyłem, że jesteście moimi jeńcami; tak musi być. Ale teraz powiedz, czy poddacie się bez oporu, czy też mam rozpocząć walkę?

— Jeniec? Nie poddaję się! Co za hańba! Przez takich obcych psów, jak wy i jak…

— Milcz! — huknąłem. — Nazwałeś mnie już raz psem i przyrzekłem ci, że nie unikniesz kary i to jeszcze przed modlitwą wieczorną. Podwoję ją, jeśli raz jeszcze wyrzekniesz to słowo! A zatem, po raz ostatni: poddajcie się?

— Nie. Natomiast zabiję ciebie! Skierował flintę w moją stronę.

Śmiejąc się, zawołałem:

— Strzelajże! Wszak nie naładowaliście broni! Pozwoliliście się podejść. Wiedz, że przede wszystkim obrócę lufę na ciebie, potem nastąpi kolej na innych. Złaź z konia, bo…

Nie dokończyłem zdania. Emery błyskawicznie podniósł strzelbę i wypalił, ponieważ jeden z Uled Ayunów, ukryty za plecami dwóch kamratów, uważając się za zasłoniętego, wyciągnął proch i ładownicę, aby ukradkiem naładować. Wystrzał Anglika ugodził go w ramię. Krzyknął przeraźliwie i opuścił flintę na ziemię.

— Spotkała cię słuszna kara! — zawołałem. — Tak, jak z tobą, postąpimy z każdym nieposłusznym. Ostrzegałem was i ostrzegam raz jeszcze. Każdego, kto zechce uciec, kula wysadzi z siodła. Zsiadaj natychmiast! Zanieś swoją flintę do wojownika z Belad Tel Amerika. Oddaj mu nóż i resztę broni, a potem usiądź w pobliżu na ziemi!

Beduin wahał się, aczkolwiek krew spływała mu obficie z ramienia. Wówczas skierowałem w niego lufę, mówiąc:

— Policzę do trzech. Jeśli nie usłuchasz, roztrzaskam ci drugie ramię. A więc: raz… dwa…

Ranny podniósł strzelbę i zaniósł do Winnetou, który zrewidował go i odebrał pozostałą broń.

Zawołałem kobietę, dałem jej nóż i rzekłem:

— Nie wątpię, że chętnie nam pomożesz. Odkrój temu człowiekowi szeroki pas z burnusa i zwiąż mu łokcie na plecach tak mocno, aby nie mógł się uwolnić z pęt. To samo zrobisz z każdym następnym.

Skrupulatnie wykonała rozkaz. Zwróciłem się ponownie do szejka:

— Widziałeś zatem, na co przydaje się opór. A zatem bądź posłuszny! Zejdź z konia!

Zamiast spełnić rozkaż, ściągnął cugle, chcąc szybko odjechać. Koń jednak źle zrozumiał ruch jeźdźca i stanął dęba. Już chciałem podnieść sztucer do wystrzału, gdy Emery podbiegł do szejka i krzyknął:

— Łotrze! Niewart jesteś nawet kuli. Zrobimy to inaczej. Złaź ze szkapy!

Schwycił go za nogi. Mocne pchnięcie wysadziło jeźdźca z siodła. Zakreślając łuk, zwalił się na ziemię. Emery ogłuszył Ayuna paroma uderzeniami, podczas gdy ja i Winnetou skierowawszy broń na Beduinów, nie pozwoliliśmy im ruszyć się z miejsca. Bothwell rozbroił szejka i związał mu ręce i nogi.

Teraz zwróciłem się do jednego z Beduinów, który ze względu na twarz pokrytą bliznami wydawał się najmężniejszy.

— A teraz ty! Złaź z konia i oddaj broń! Raz… dwa…

Nie czekał, aż wypowiem trzy. Zeskoczył, wprawdzie z posępną miną, ale posłusznie. Wręczył Winnetou broń i spętany usiadł obok szejka.

Teraz wiedziałem, że pójdzie jak po maśle, bez żadnego wysiłku.

Uled Ayuni wykonali moje rozkazy bez sprzeciwu.

Dokonaliśmy tego, co każdemu, kto nie był westmanem, wyda się niemożliwe. W trzech wzięliśmy bez walki do niewoli czternastu uzbrojonych i dosiadających świetnych koni wrogów. Przyznaję jednak otwarcie i zgodnie z prawdą, że zawdzięczaliśmy to naszej doskonałej broni. Uled Ayuni byli tak zaskoczeni perfekcją naszych wystrzałów, tak oszołomieni i tak szybko przez nas opanowani, że nie mieli czasu powziąć, a tym bardziej wykonać jakiegoś ruchu. Kiedy już siedzieli wszyscy związani, Emery zapytał:

— Jak ich poprowadzimy?

— Przywiążemy ich do koni i poprowadzimy gęsiego.

— Dobrze, więc naprzód! Mamy tylko dwie godziny do zmroku. Na szczęście za godzinę będziemy koło warru.

— Warr? Jaki warr?

— Zanim wyjechaliśmy, aby ciebie odszukać, przewodnik oznajmił, że dziś dotrzemy do warru, który jutro mamy przebyć. Wobec tego Krüger–bej postanowił rozbić obóz przed warrem.

— Czy znasz drogę?

— Powinniśmy tam dotrzeć, jeśli będziemy jechali wciąż na zachód.

Warr jest to pustynia, pokryta blokami skalnymi. Saharą nazywają Beduini pustynię piaszczystą, serir — kamienistą, dżebel — górzystą. Jeśli pustynia jest zaludniona, nazywa się fiafi, niezaludniona — khala. Jeśli ją okrywają zarośla — jest to haitia, a jeśli drzewa, nazywa się khela.

Przewodnik, o którym mówił Emery, był to żołnierz z oblężonego oddziału. Za to, że przedarł się do Tunisu, został mianowany podoficerem.

Aby znaleźć wrogów, nie trzeba było przewodnika, ale jeśli chodziło o topograficzne szczegóły marszruty, to oczywiście mógł się nam bardzo przydać człowiek, który znał drogę, gdyż przebył ją niedawno.

Przywiązawszy jeńców do koni, wyruszyliśmy w drogę. Ranny Beduin został opatrzony, a co się tyczy szejka, to ten już dawno ocknął się z omdlenia i musiał, co prawda ze zgrzytaniem zębów, poddać się losowi.

DŻEBEL MAGRAHAM

Słońce nie skryło się jeszcze za widnokręgiem, gdy dostrzegliśmy w piasku kamienie różnej wielkości. Tu więc zaczynał się warr. Im dalej jechaliśmy, tym większe i liczniejsze wyrastały głazy. W końcu dotarliśmy do ogromnych zwałów na południu. Nocna jazda przez ton teren nastręcza nie lada trudności. Dlatego Krüger–bej postanowił urządzić postój przed pustynią.

Wkrótce zobaczyliśmy z daleka obóz, w którym tętniło życie. Zauważono nas, zaczęto się gromadzić. I już po chwili rozeszła się wśród wojska zdumiewająca wieść o naszej przygodzie.

Rozumie się, natychmiast złożyłem Krüger–bej owi szczegółowy raport. Nie był widocznie zbudowany jego treścią, bowiem rzekł:

— Sami dokonaliście bohaterskiego czynu i oprócz tego wzięliście do niewoli czternaście osób. Lecz gdyby stało się inaczej, byłbym bardziej zadowolony.

— Inaczej? Co pan ma na myśli?

— Jeńcy mogą przysporzyć nam kłopotów.

— Myślę, że wręcz przeciwnie.

— Jak to?

— Jeńcy mogą się nam ogromnie przydać ze względu na Uled Ayarów.

— Niech mi pan łaskawie doniesie, na czym polega to przydanie się, albowiem z zupełną ufnością nie umiem go dostrzec — kaleczył język.

— Uled Ayarzy nie płacą podatku. W jaki sposób jest on ustalony i ściągany?

— Od ilości ludzi w szczepie, a płaci się końmi, baranami i wielbłądami.

— A zatem podatek płaci się w naturze. Lecz oto tej wiosny nie padały deszcze i w okresie posuchy padło wiele zwierząt. Trzody są mocno przerzedzone, niejeden bogaty zubożał i niejeden biedny zszedł na żebry. Ci, którzy nie chcą żyć z rabunku, utrzymują się z hodowli i teraz przymierają głodem. Spodziewali się więc, że Mohammed es Sadok–basza daruje lub przynajmniej zmniejszy tegoroczne pogłówne. Wysłali posłów, którzy niestety wrócili z niczym. Muszą bezwarunkowo zapłacić cały podatek z mocno przerzedzonych stad, co zresztą wtrąci ich w większą nędzę. Rozjątrzeni bezwzględnością baszy, zbuntowali się przeciw jego zarządzeniom. Wskutek tego wyruszyliśmy, aby ich poskromić i przymusem ściągnąć haracz. Jestem jednak przekonany, że nie ociągaliby się z płaceniem, gdyby nie ponieśli tak ogromnej szkody. Czyż nie tak?

— Chyba tak — potwierdził.

— Nie mogą płacić, aby nie wpaść w jeszcze większą nędze. Będą się przeto bronili do upadłego. Uled Ayarzy są liczniejsi od nas. Jeśli pobiją naszych żołnierzy, wrócimy do Tunisu okryci hańbą i wstydem. Temu należy zapobiec!

— Nie zniósłbym takiego wstydu, raczej wolałbym zginąć z bronią w ręku!

— Zupełnie słusznie, lepiej zginąć. Lecz oto druga możliwość: zwycięstwo. W tym wypadku wtrącamy całe plemię w najokropniejszą niedolę. Zamorzy ich głód, a reszty dokonają jego siostrzyce: choroby i zarazy. Czy tak być powinno?

— Naturalnie, że nie. Ale mogą z resztą stad ruszyć na nasze pastwiska, gdzie zwierzęta szybko odzyskają siły.

— Sądzi pan, że Uled Ayarzy powinni wy wędrować do miejscowości, gdzie stada znajdą obfitą paszę i będą się mogły rozmnażać? W takim razie wyruszą do Algierii czy Trypolisu i będą na zawsze straceni dla baszy, który już nigdy od nich nie dostanie podatku, bo nie chciał uwolnić biedaków od płacenia przez jeden rok. Czy tego pan pragnie?

— Oczywiście, że nie!

— A więc pragnie pan, aby nikt nie zwyciężył ani my, ani oni?

Nie odpowiedział od razu. Popatrzył na mnie z ogromnym zdumieniem, namyślał się przez chwilę i widocznie przyznawszy, że mam słuszność, rzekł zakłopotany:

— W ogóle nie mogę zrozumieć, jak to jest. Może pan coś poradzi, by w moim umyśle rozjaśniło się.

— Owszem, mogę panu coś podpowiedzieć. Znam sposób umożliwiający Uled Ayarom zapłacenie podatku bez szczególnego uszczerbku dla ich mienia. Uzyskają go mianowicie od Uled Ayunów.

— Od Uled Ayunów? W jaki sposób?

— Wiem, że Uled Ayunowie są o wiele bogatsi od Uled Ayarów i łatwiej zniosą ten ubytek. Biorąc do niewoli naczelnika oraz trzynastu wojowników, upatrzyłem sobie cel podwójny — po pierwsze, chciałem ukarać ich za zabójstwo, po drugie, dostałem do ręki atut, dzięki któremu możemy wygrać sprawę z Uled Ayarami. Potrafimy ich skłonić bez walki do zapłacenia podatku i pogodzenia się z baszą.

To byłby istny cud.

— Czy pamięta pan, że Uled Ayarzy i Uled Ayuni poprzysięgli sobie krwawą zemstę? Nietrudno będzie stwierdzić, ilu morderstw dokonali Uled Ayuni na Uled Ayarach. Będą musieli złożyć okup krwi. Możemy ich do tego zmusić, ponieważ mamy szejka w niewoli.

Krüger–bej mimo podeszłego wieku i piastowanej wysokiej godności aż podskoczył z uciechy i zawołał:

— Alhamdulillah! Allachowi niech będą dzięki za natchnięcie cię jasności pomysłem i chytrości ozdobą. Jest pan wspaniałym chłopem! Dla pana moja dobra przyjaźń. Na niej możesz pan polegać.

Mówiąc to, uścisnął mi serdecznie rękę.

— A więc nie gani mnie pan za to, że wziąłem szejka do niewoli?

— Nie, nie!

— A więc proszę, niech pan każe ich tutaj przyprowadzić. Musimy wybadać szejka w sprawie krwawego odwetu. Poza tym mam z nim osobiste porachunki.

— Jakiego rodzaju?

— Wymyślał mi wielokrotnie od psów, zagroziłem mu przeto karą. Sprawię mu srogie cięgi.

— Cięgi? Czy nie wie pan, że swobodny Beduin obmywa cięgi wyłącznie krwią?

Wiem bardzo dobrze. Wiem wszystko, co pan zechce mi powiedzieć. Nie tylko za „psa” winien odpokutować, lecz przede wszystkim za złość i diabelskie okrucieństwo, z jakim się znęcał nad bezbronną kobietą i biednym ślepym dzieckiem. Nie obchodzi mnie zemsta krwi. Nie jestem sędzią, powołanym do karania za zabójstwo starca, lecz widziałem ślepie dziecko przy głowie matki, głowie; która sterczała z ziemi, boleśnie wołając o ratunek. Widziałem sępy zlatujące się zewsząd, gotujące się do rozszarpania biednych ofiar. To okrucieństwo wykracza już poza wszelką zemstę krwi i domaga się kary.

— A jednak mam pewne wątpliwości, dotyczące pańskich uprawnień.

— Ostrzega mnie pan przed skutkami — nie martwię się nimi, ale we własnym sumieniu musi się pan ze mną zgodzić. Ponawiam prośbę: niech pan każe sprowadzić tych łajdaków! Uprzedziłem szejka, że jeszcze przed wieczorną modlitwą poniesie karę, a co zapowiedziałem, tego muszę dotrzymać. Jeśli pan nie pozwoli, uczynię to bez pańskiego zezwolenia.

— Skoro takie jest pańskie niezłomne postanowienie, aby szejka ukarać, to wolę, żeby się to stało w mojej obecności.

Wyraziwszy zgodę, kazał przyprowadzić jeńców. Zajął miejsce przed swoim namiotem, musiałem usiąść przy jego boku. Przy drugim usiedli Winnetou i Emery.

Na wieść o tym, że Pan Zastępów będzie rozmawiał z jeńcami, zbiegli się żołnierze ze wszystkich oddziałów. Oficerowie utworzyli przed nami półkole. Wkrótce przyprowadzono szejka Uled Ayunów i jego ludzi. Znał dobrze Krüger–beja i ukłonił mu się lekkim skinieniem głowy. Wolny Beduin spogląda z góry na zależnego od zwierzchnictwa urzędnika czy żołnierza baszy. Ale tu natrafiła kosa na kamień. Krüger–bej z miejsca dał mu nauczkę:

— Kim jesteś?

— Znasz mnie przecież! — odpowiedział zuchwalec.

— Byłem przekonany, że cię znam, lecz twój dostojny ukłon pozbawił mnie tego przekonania. Czy jesteś Jego Prześwietnością, Wielkim Sułtanem Stambułu, kalifem wszystkich wiernych?

— Nie — odpowiedział szejk, zaskoczony tym pytaniem.

— Więc dlaczego ukłoniłeś się jak sułtan? Chcę usłyszeć, kim jesteś!

— Jestem Farad el Aswad, naczelny szejk wszystkich Uled Ayunów.

— Ach, tak! Allach otwiera mi oczy, abym mógł cię znowu poznać. A zatem jesteś Uled Ayunem, tylko Uled Ayunem, a jednak kark masz zbyt hardy, aby godnie schylić się przed Panem Zastępów, baszą, którego niech Allach obdarzy tysiącem lat życia!

— Panie, jestem wolnym Ayunem!

— Mordercą jesteś.

— Nie mordercą, lecz mścicielem, ale to nikogo nie powinno obchodzić! Jesteśmy ludźmi wolnymi i rządzimy się własnymi prawami. Płacimy baszy podatek, niczego ponadto nie może od nas żądać. O nasze sprawy niech go głowa nie boli!

— Mówisz tak, jak gdybyś dobrze znał swoje prawa. Nie będą się o to spierał, lecz obowiązków swoich nie znasz wcale. Ponieważ nie pozbawiam cię twoich praw, przeto nie zwolnię również z obowiązków. Cofnijcie się o dwadzieścia kroków. Stamtąd zbliżcie się ponownie i ukłońcie tak, jak należy. W przeciwnym razie zostaniecie wychłostani.

Pojęli, że Pan Zastępów nie żartuje. Byłem również przeświadczony, że wykona pogróżkę w razie nieposłuszeństwa. Cofnęli się więc o dwadzieścia kroków i wrócili, składając głęboki ukłon, nachylając się całym tułowiem i kładąc prawą dłoń po kolei na czole, ustach i piersiach. Wówczas rzekł Krüger–bej:

— Gdzie się zapodział „sallam”? Czyście oniemieli?

— Sallam aaleikum! — zawołał szejk. — Allach niech przedłuży dni twojego żywota i niech obdarzy cię wszystkimi rozkoszami raju!

— Sallam aaleikum! Allach niech przedłuży dni twojego żywota i niech obdarzy cię wszystkimi rozkoszami raju! — powtórzyli pozostali Uled Ayuni.

— Aaleik es sallam! — odpowiedział krótko Krüger–bej. Jak dostaliście się do mojego obozu?

— Zmuszono nas —; odpowiedział szejk — ponieważ ukaraliśmy kobietę z plemienia Uled Ayarów, którym poprzysięgliśmy krwawą zemstę.

— Kto was zmusił?

— Ci trzej mężowie, którzy siedzą przy tobie.

— Ale was było czternastu? Jakże możecie się do tego przyznać, nie oblewając się rumieńcem wstydu?

— Nie mamy się” czego wstydzić, gdyż mężowie ci mają takie strzelby, jakim nie podoła stu naszych wojowników.

Krüger–bej uśmiechnął się nieznacznie, po chwili łagodnie zapytał:

— Poprzysięgliście sobie zemstę z Uled Ayarami. Od jak dawna?

— Od dwóch lat.

— Wyruszyłem przeciwko Uled Ayarom, aby ich pokonać. Są zatem moimi wrogami, tak samo jak waszymi.

— Wiemy o tym i spodziewamy się,, że nas potraktujesz jako przyjaciół.

— Komu się bardziej powiodło w zemście?

— Nam.

— Ilu wam mężów zabito?

— Ani jednego.

— A wy?

— Czternastu.

Od razu wiedziałem, że Krüger–bej nie bez celu zmienił ton rozmowy. Lecz teraz znowu głos jego był surowy:

— To was drogo będzie kosztować! Albowiem wydam was w ręce Uled Ayarów.

— Nie uczynisz tego! — zawołał przerażony szejk. — Wszak są twoimi wrogami!

— Skoro was wydam w ich ręce, będą moimi przyjaciółmi.

— O Allach! Zemszczą się na nas i zabiją! Nie masz prawa nas wydać! Nie jesteśmy twoimi niewolnikami.

— Jesteście moimi jeńcami. Powiadam wam, znęcanie się nad tą kobietą będzie was drogo kosztować.

Szejk ponuro patrzył w ziemię. Po; chwili podniósł oczy na naczelnika i rzucił badawcze spojrzenie i ostro zapytał:

— Czy naprawdę zamierzasz nas wydać?

— Przysięgam na swoje imię i na swoją brodę.

Wyraz wściekłości wykrzywił twarz Uled Ayuna, kiedy zawołał szyderczo:

— Myślisz, że nas zabiją?

— Tak.

— Mylisz się, na moją duszę, mylisz się bardzo! Nie zabiją, lecz ściągną z nas diveh*. Kilka koni, wielbłądów i owiec — to będzie dla nich lepsze niż nasza krew. Wówczas znów będziemy wolni i nie zapomnimy o tobie. My ciebie… ciebie…

Wykonał odpowiedni ruch ręką. Dowódca udawał, że tego nie spostrzegą i rzekł:

— Nie łudźcie się! Nie będzie mowy o kilku sztukach bydła, zapłacicie o wiele więcej.

— Nie! Znamy cenę, która nas obowiązuje i którą możemy zapłacić.

Pan Zastępów zwrócił się do mniej z pytaniem:

— Jakiego jesteś zdania, effendi?

Podług miejscowego zwyczaju określa się diveh w stosunku do zwyczajów płatnika. W danym przypadku można było przypuszczać, że Uled Ayuni będą mieli do zapłacenia znacznie mniejszą sumę, niż wynosił podatek. Naczelnik wiedział o tym i dlatego zwrócił się do mnie w nadziei, że znajdę jakiś wybieg.

— Chcesz, o panie — odpowiedziałem — układać się z Uled Ayarami w sprawie wydania im naszych jeńców?

— Tak.

— Proszę cię, przekaż mi łaskawie prowadzenie układów!

— Prośbie twej uczynię zadość, ponieważ wiem, że nie mógłbym złożyć sprawy w odpowiedniejsze ręce.

— W takim razie Uled Ayuni będą musieli zapłacić o wiele więcej, niż im się zdaje.

— Tak sądzisz? zapytał wielce ucieszony.

— Tak. Zapłacą zgodnie z obowiązującym prawem, a nie miejscowym zwyczajem. A teraz policz tylko — zwróciłem się do szejka. Zabiliście czternastu Uled Ayarów, to czyni czternaście set wielbłądzic, które będziecie musieli oddać Uled Ayarom, aby ujść z życiem.

— Sądzisz, że Uled Ayarzy będą tak szaleni, iż zażądają aż tyle?

— Tak. Raczej byliby szaleni, gdyby nie zażądali. Zresztą, wydamy im was pod warunkiem, że to uczynią. Ofiarujemy Uled Ayarom wspaniały dar, który przyjmą z radością, gdyż umożliwi im spłacenie haraczu i naprawienie poniesionej szkody.

— Mówisz jak niemowlę, jeszcze nie narodzone! Skąd weźmiemy czternaście set wielbłądzic?

Czyż każde zwierzę nie mą ceny, za którą można je nabyć? Czy każda wielbłądzica nie posiada znanej ceny?

---

* Okup krwi

— Mamy dać pieniądze? Tyle gotówki nie ma w całym kraju! My nie płacimy, tylko zamieniamy. Ale ty o tym nie wiesz, gdyż jesteś obcym. Jesteś giaurem!

— Giaur! Znowu obraza! Doliczam ją do poprzednich i podnoszę wymiar kary, która cię nie ominie. Czy mówiłem, abyście płacili gotówką? Skoro istnieje u was tylko handel zamienny, to nikt nie może wam zabronić, abyście czym innym wypłacili cenę czternastu set wielbłądzic. Wszak znacie wartość wielbłąda, barana, owcy, konia lub kozy, możecie więc łatwo obliczyć, iloma końmi, owcami, baranami lub kozami można zastąpić wyznaczoną ilość wielbłądzic. Dodam jednak, że to jeszcze nie wszystko.

— Żądasz więcej? zawołał.

— Tak. Wiesz, o czym myślę?

— Niechaj Allach cię zgładzi! — syknął ze złością.

— W zgoła nieludzki sposób skrzywdziliście kobietę, którą zdołałem uratować, i przez to zabiliście cześć jej męża. Za to się płaci cały okup krwi, a więc sto wielbłądzic lub ich równoważnik w innych zwierzętach. Okażę tyle łaski, że nie wezmę pod uwagę niebezpieczeństwa, na które naraziliście ślepe dziecko. Lecz przysięgam, nie wyjdziecie żywi, dopóki nie zapłacicie, oprócz czternastu set wielbłądzic za wymordowanych, dodatkowej setki dla kobiety. Jest bardzo uboga i niech przynajmniej w ten sposób będzie wynagrodzona krzywda jakiej doznała od was.

Szejk nie mógł powstrzymać wściekłości. Skoczył dwa kroki w przód i krzyknął:

Psie, co tym masz do powiedzenia i rozkazywania? Cóż ciebie, psiego syna, obchodzą te wszystkie okupy? Obłęd cię ogarnął i uroiłeś sobie, iż dwa wielkie plemiona będą spełniały twoje życzenia. Gdybym nie miał związanych rąk, byłbym cię z miejsca zadusił. Przyjmij to ode mnie! Pluję na ciebie, pluję ci w twarz!

Istotnie, wykonał groźbę. Cofnąłem się szybko i uniknąłem plwociny. Wówczas zawołał Krüger–bej:

— Wyprowadźcie tych psów, bo się wściekną do reszty! Wiedzą już, czego żądamy. Nie odstąpimy od tego ani na krok. Będą wydani Uled Ayarom i zapłacą okup krwi według przepisów Koranu i sto wielbłądzic dodatkowo dla kobiety, chyba że im nie zależy na zachowaniu życia. Jeśli nie starczy ich dobytku, niechaj płaci za nich całe plemię!

Wyprowadzono wnet jeńców, pozostawiwszy jednak na mój znak szejka, któremu teraz związano także nogi.

Dzień się kończył. Nastała pora moghrebu, modlitwy o zachodzie słońca. W każdej karawanie, w każdym wojsku podczas marszruty jest ktoś, kto piastuje godność odprawiania nabożeństw. Jeśli nie ma duchownego, derwisza lub urzędnika meczetu, wówczas zastępuje go ktoś dokładnie znający rytuał. Przy nas sprawował tę godność mój przyjaciel sierżant, stary Sallam. Skoro słońce dotarło do widnokręgu, zawołał dźwięcznym, donośnym głosem:

— Do modlitwy!

Kiedy słowa modlitwy przebrzmiały, gdy wierni zaczęli się podnosić z klęczek, szejk zwrócił się do mnie i syknął tak głośno, że wszyscy znajdujący się w pobliżu słyszeli:

— A teraz, psie jeden, jak tam z twoim słowem, z twoją przysięgą?

Nie uważałem za stosowne odpowiadać, choć zirytowałem się jego buńczucznym zachowaniem.

— Sallam! — zawołałem.

Stary sierżant przybiegł natychmiast.

— Jaką modlitwę odprawiłeś?

— Moghreb.

— Jaka modlitwa nastąpi później, kiedy się zupełnie ściemni?

— Asziah, modlitwa wieczorna.

— Dobrze! Zawołaj bastonadżiego.

— Kto będzie ukarany?

— Szejk Uled Ayarów.

— Ile cięgów?

— Sto.

Odszedł, aby wykonać rozkaz. Przy każdym oddziale był żołnierz wyznaczony do wykonywania kary. W naszym sprawował te czynności pewien podoficer, który wkrótce przybiegł z pomocnikami. Teraz żołnierze z oficerami na czele zebrali się ponownie przed namiotem dowódcy.

Krüger–bej nie miał już nic przeciw chłoście. Siedzieliśmy obok wejścia do namiotu, szejk zaś leżał przed nami. Nie miałem chęci obchodzić się z nim tak surowo, tym bardziej, że nie znoszę podobnych widowisk. Lecz zasłużył na to swoim postępowaniem z nieszczęśliwą kobietą, a i zachowanie się jego nie skłaniało do pobłażliwości.

— Sto batów,— spora porcja! — mówił Emery. — Nie chciałbym jej dostać. Czy wytrzyma?

— Oczywiście.

— A sierżant będzie się modlił?

— Zobaczymy i usłyszymy! Jestem naprawdę ciekaw.

Skoro szejk zobaczył bastonadżiego, spojrzał na mnie półprzytomnie. Po czym jak gdyby ocknął się i zapytał:

— Kim… kim jest ten człowiek?

— Bastonadżi — odpowiedziałem dość uprzejmie — który dokona na tobie swych czynności urzędowych.

— Mam… dostać… sto… sto batów Człowieku!

— Milcz, powiadam, bo dostaniesz sto pięćdziesiąt!

— Jestem wolnym Uled Ayunem! Nikt mnie nie śmie uderzyć!

— Nikt, prócz bastonadżiego.

— Tę zniewagę krwią zmyję. Krwią, krwią!!

— Nie groź, bo zaraz będziesz lamentował. Dowiesz się i zrozumiesz, że dotrzymuję słowa.

— Czy wiesz, że przypłacisz to życiem?!

— Przekonałem się dzisiaj, jak jesteś niebezpieczny. Bastonadżi, zaczynaj!

— Mocno?

— Wypełnij swą powinność, jak należy, lecz wiedz, że nie życzę sobie jego śmierci.

— Nie umrze, lecz oby mnie Allach uchował przed takimi przyjemnościami.

Pomocnicy ściągnęli z szejka burnus i rozwiązali mu ręce. Przytwierdzono je do obu końców dzidy, którą uchwycili dwaj żołnierze. Dwaj inni trzymali Uled Ayuna za nogi. Wszyscy czterej ciągnęli z całych sił — i oto szejk leżał brzuchem na ziemi.

— Jesteśmy gotowi, panie — zameldował bastonadżi, wyjmując cienką gałąź z wiązki, którą trzymał w lewej ręce.

— Zaczynać — zawołałem. Obecni spojrzeli na starego Sallama, który podniósł rękę i zaczął się modlić:

— Wielkie i liczne są grzechy tego świata i głuche serca złych. Lecz sprawiedliwość czuwa i kara nie drzemie. O Allach, o Mohammed, o wszyscy kalifowie…

Nastąpiły trzy tęgie uderzenia, po nich powoli następne. Kiedy odliczono sześćdziesiąt uderzeń, kazałem szejka puścić. Moralny ból, który mu sprawiłem, był nie mniej okrutny niż ból cielesny; mogłem być pewny, że zyskałem w nim śmiertelnego wroga.

Elatheh, niewiasta, którą uratowaliśmy, podeszła do mnie i podziękowała za ukaranie prześladowcy. Wywnioskowała ze sposobu obchodzenia się z nią, iż nic złego stać się jej u nas nie może. Nie wiedziała, że się ją ukradkiem śledzi. Przypuszczaliśmy, że może uciec do swoich i udzielić o nas wiadomości.

Ułożyliśmy się wcześnie do snu, ponieważ jutrzejszy przemarsz przez warr był nie tylko uciążliwy, lecz nadto niebezpieczny, tym bardziej niebezpieczny, im bliżej ruin, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć wrogów.

Nazajutrz wstaliśmy bardzo —wcześnie, zjedliśmy, nakarmiliśmy zwierzęta, po czym wyruszyliśmy w drogę. Lecz w chwili wymarszu podjechał do mnie Winnetou i rzekł:

— Mój brat niech pójdzie ze mną! Chcę mu coś pokazać.

— Czy coś dobrego?

— Raczej coś złego.

— Ach! Cóż takiego?

— Jak wiadomo memu bratu, Winnetou ma zwyczaj być przezornym nawet tam, gdzie to wydaje się niepotrzebne. Objechałem obóz i znalazłem ślad, który obudził moją podejrzliwość.

Podczas gdy inni odjechali z przywiązanymi do koni jeńcami, Winnetou zaprowadził mnie na południowy wschód, gdzie zobaczyliśmy na piasku między kamieniami ślad ludzkich nóg, który prowadził z obozu i wracał doń z powrotem. Poszliśmy tym śladem i przybyliśmy do miejsca między ogromnymi blokami skalnymi, gdzie nieznajomy spotkał się z innym człowiekiem, przybyłym konno. Według wszelkich danych zatrzymali się tutaj dosyć długo. Ze śladów poznaliśmy, że stało się to około północy. Nie mogliśmy nic innego zrobić, tylko iść za śladem jeźdźca, który prowadził bez przerwy ku południowemu wschodowi, a zatem coraz dalej w kierunku przeciwnym naszej wyprawie. To nas poniekąd uspokoiło i po pół godzinie przyłączyliśmy się z powrotem do oddziału.

Naturalnie podzieliliśmy się naszym odkryciem z Krüger–bejem i Emerym. Pierwszy nic sobie z tego nie robił, drugi jednak chciał przyłączyć się do poszukiwań, które postanowiliśmy podjąć wieczorem. Emery zapytał:

— Jeździec nie był w obozie podczas naszego snu?

— Nie.

— Musiał mieć powód, aby się nie pokazywać w obozie. A kto się nie może pokazać, ten nie jest przyjacielem, lecz wrogiem.

— I kto w nocy ukradkiem porozumiewa się z wrogiem, jest zdrajcą. Mamy więc zdrajcę w naszych szeregach — rzekłem.

— Oczywiście, jestem tego samego zdania! Lecz kto nim być może? Jeśli dziś wieczór będziemy pilnie obserwować, sądzę, że wnet go przyłapiemy. Jak długo jeszcze będziemy jechać do ruin?

— Staniemy tam jutro po południu.

— W takim razie należy się spodziewać, że jeździec dziś wieczorem wróci, aby zasięgnąć nowych wiadomości. Wówczas schwytamy go, jak i towarzysza.

Niestety, nie spełniła się ta nadzieja, gdyż zaszły całkiem nieprzewidziane wypadki. Aczkolwiek wiedzieliśmy, że kolorasi Kalaf Ben Urik jest wierutnym łotrem, to nie przypuszczaliśmy, że aż tak wielkim. Otóż, przeszedł na stronę wrogów i znajdował się z nimi w stosunkach o wiele bliższych, niż można było przypuszczać. Nocny jeździec był istotnie szpiegiem Uled Ayarów i porozumiał się z naszym przewodnikiem, którego nierozważnie obdarzono zbyt wielkim zaufaniem.

Warr stawiał naszej wyprawie coraz większe przeszkody. Nie mogliśmy jechać zwartymi kolumnami, lecz musieliśmy rozbić się na drobne oddziały i rozesłać mnóstwo wywiadowców i bocznych straży. W południe zarządziliśmy niewielki odpoczynek. Przewodnik pocieszył nas wiadomością, że warr za trzy godziny się kończy, dalej zaś zaczyna się rozległy step, zarośnięty gęstą trawą.

O godzinie pierwszej ruszyliśmy ponownie, a w pół godziny później zbliżył się do nas podoficer i zameldował dowódcy, który przy nas jechał:

— Po tamtej stronie znajduje się miejsce, gdzie mulassim* Achmed został zamordowany.

— Mulassim Achmed? — zapytał zdumiony Krüger–bej.

— Tak.

— Został… zamordowany?

— Tak. Wszak już o tym mówiłem, panie!

— Ani słowa!

— Wybacz, panie! Wiem na pewno, że o tym powiedziałem. Jakże mógłbym zapomnieć o tak ważnej wiadomości?

— Czyżbym puścił ją mimo uszu? Musiałem myśleć o czymś innym, o czymś bardzo ważnym, skoro nie zwróciłem uwagi na twoje słowa! Achmed nie żyje? Zamordowany? Przez kogo, powiedz!

— Przez Uled Ayarów, tam, nad niewielką wodą.

— Czy mordercy zostali pojmani?

— Tak. Pojmaliśmy i zastrzeliliśmy. Było ich trzech.

— A trupy? Co z nimi zrobiliście?

— Pogrzebaliśmy na miejscu zbrodni.

— Opowiedz dokładnie!

— Jechaliśmy tą samą drogą, którą teraz jedziemy. Malassim, dowiedziawszy się, że w odległości dziesięciu minut jazdy znajduje się woda, pojechał tam, gdyż chciał napoić wierzchowca, który osłabł w drodze.

My zaś pojechaliśmy naprzód, gdy nagle usłyszeliśmy wystrzał. Kolorasi wysłał natychmiast dziesięciu ludzi, między którymi i ja byłem, aby się dowiedzieli, kto wystrzelił. Kiedy dojechaliśmy do wody, zobaczyliśmy trzech Uled Ayarów, nie podejrzewających naszego przybycia. W pobliżu leżało ciało mulassima. Schwytaliśmy złoczyńców i zaprowadziliśmy do kolorasiego, który zatrzymał pochód, zwołał natychmiastowy sąd i zgodnie z wyrokiem zarządził rozstrzelanie Uled Ayarów, po czym oficerowie wraz z kilkoma żołnierzami udali się nad wodę. Pogrzebawszy mulassima, usypaliśmy nad mogiłą kamienie i oddaliśmy trzykrotną salwę.

— Achmed, mężny, odważny Achmed! Muszę odwiedzić jego grób! Zaprowadź nas, prędzej!

Do dziś dnia nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego byłem tak naiwny i zaufałem przewodnikowi. Wszak opowiadanie było mniej niż prawdopodobne. Utrzymywał, że zdawał sprawę Krüger–bejowi, który nic o tym nie wiedział. Powinienem był sobie przypomnieć nocnego jeźdźca, lecz ten pojechał na południowy wschód, podczas gdy my jechaliśmy na południowy zachód.

— Krüger–bej, Emery i ja ruszyliśmy za przewodnikiem. Winnetou nie pojechał z nami, nie brał bowiem udziału w naszej rozmowie. Zanim odłączyliśmy się od oddziału, Pan Zastępów rozkazał, aby wojsko posuwało się naprzód bardzo powoli.

Jechaliśmy między głazami znacznie dłużej niż dziesięć minut, zanim dotarliśmy do miejsca. Już to samo powinno było zwrócić moją uwagę.

— Koło pokaźnej skały znajdowała się niewielka kałuża, do której woda sączyła się pomału z ziemi. Z boku sterczał usypany pagórek kamieni. Przewodnik wskazał nań i rzekł:

— Oto jest grobowiec.

— Muszę zmówić modlitwę zmarłych — rzekł dowódca zsiadając z konia.

Poszliśmy za jego przykładem, zostawiając broń przy siodłach. Prócz nas nie widać było dookoła żywej duszy. Krüger–bej ukląkł i zaczął i modlić. Ja i Emery, stojąc, złożyliśmy ręce. Przewodnik nie zsiadł nawet z konia, co, nie wiem dlaczego, nas wcale nie zastanowiło.

Pan Zastępów, podniósłszy się klęczek, zapytał:

---

* Porucznik

— Jak leży mulassim? Czy twarzą jest zwrócony ku Mekce?

— Tak, panie — odpowiedział przewodnik.

Nie pomyślawszy zresztą nic złego, wtrąciłem uwagę:

— To niemożliwe! Mekka znajdź się na wschodzie, natomiast grobowiec jest usypany w kierunku południowym.

— To prawda! O Allach! Położą go w fałszywym kierunku!

— A także — dodałem z nagle z rozbudzoną podejrzliwością — grobowi powinien mieć dwa tygodnie, tak jednak nie jest.

— Tak, nie ma dwóch tygodni — potwierdził Emery.

— Dlaczego? — zapytał dowódca

— Spójrz, jak się porusza ten cienki, sypki piasek, aczkolwiek nie wieje żaden wiaterek. Pełno piasku wszędzie, w każdej szparze, w każdej szczelinie, we wszystkich kamieniach dokoła, prócz tych, z których usypany został grobowiec. Na tych kamieniach ani ziarenka. Grobowiec nie ma czternastu dni. Mogę stanowowczo stwierdzić, że nie ma nawet trzech, nawet dwóch dni. Możliwe, że dopiero dzisiaj został wzniesiony, aby…

Emery przerwał i wydał angielski okrzyk alarmowy, zaroiło się bowiem nagłe dokoła nas od jakichś postaci. Rzuciły się na nas i na zwierzęta, przy których zostawiliśmy broń. Wyciągnąłem szybko rewolwer, lecz w mig dopadło mnie ze wszystkich stron sześciu, ośmiu, dziewięciu ludzi. Natężyłem całą moc i zdołałem uwolnić ręce. Zanim jednak zdążyłem zrobić użytek z rewolweru i dwunastoma kulami oczyścić miejsce, podbito mi nogi od tyłu, wskutek czego runąłem i zostałem przywalony całym mnóstwem napastników. Po chwili nadbiegło ich więcej Odebrano mi rewolwer, nóż, związano — i oto byłem jeńcem.

Podczas mocowania się z Arabami spostrzegłem, że nasz przewodnik, nie zatrzymywany przez nikogo, odjechał galopem. Wiedziałem więc, kto był zdrajcą. Obok mnie z prawej strony leżał Krüger–bej, bliżej zaś nieco Emery, tak samo jak ja skrępowani. Emery zawołał po angielsku:

— Byliśmy osłami! Przewodnik jest zdrajcą! Ale nie trzeba się przejmować. Zdaje się, chwilowo nic nie grozi naszemu życiu. Czas nie nagli. Winnetou na pewno pójdzie naszym śladem i nie spocznie, dopóki nas nie uratuje.

Napastników było co najmniej pięćdziesięciu kilku. Kiedy nadjechaliśmy, ukryli się za głazami. Teraz przywódca zwrócił się do Krüger–beja:

— Ciebie właściwie chcieliśmy pojmać. Lecz, oczywiście, zabierzemy ze sobą również twoich towarzyszy. Jutro zaś weźmiemy do niewoli całe wojsko, aby je wytępić, jeśli basza nie zechce dać nam wielbłądów, koni, owiec i innej żywności w zamian za życie żołnierzy.

Wsadzono nas na wierzchowce i przymocowano sznurami, po czym ruszyliśmy na południowy zachód. Po dwóch godzinach Wyjechaliśmy z warru.

Najchętniej bym sam siebie spoliczkował, ale ręce miałem związane, Moja broń, moja piękna, pierwszorzędna broń była w rękach wrogów. Przywódca przywłaszczył ją sobie. Nie ulegało wątpliwości, iż napastnicy są Uled Ayarami.

Emery pokładał nadzieję w Winnetou.

I ja polegałem na Apaczu, który jednak nie znając arabskiego, niewiele mógł zdziałać. Nie było człowieka, z którym mógłby się porozumieć, mimo to nie dawałem za wygraną. Emery miał słuszność, chwilowo nic nie zagrażało naszemu życiu. Dowodem było to, że żaden z Arabów nie użył broni. To nam przywróciło spokój. Poza tym mieliśmy kilka dobrych atutów: Elatheh, którą uratowaliśmy, oraz wziętych do niewoli Uled Ayunów, których zamierzaliśmy wydać własne Uled Ayarom.

Gorzej było z tym, że nas rozłączono. Ja znajdowałem się na przodzie, dowódca w środku, a Emery na końcu oddziału. Wskutek tego nie mogliśmy się ze sobą porozumiewać. Spoglądałem bacznie na wschód, gdzie powinno było wyjechać nasze wojsko. Aczkolwiek znajdowaliśmy się na gładkiej równinie, nic nie dostrzegałem.

Wojsko zatrzymało się zapewne, aby nas odszukać. Wiedziałem aż nazbyt dobrze, iż przewodnik dołoży wszelkich starań, aby oszukać naszych i wyprowadzić na manowce.

Rozciągał się przed nami step, skąpo zarośnięty trawą. Skręciliśmy na wschód i puściliśmy się galopem. Z początku trzymaliśmy się południowo–zachodniego kierunku, następnie zaś ruszyliśmy wprost na wschód. Było rzeczą oczywistą, że nadłożyliśmy drogi, aby zmylić ewentualny pościg.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Trzy kwadranse dzieliły nas od zmierzchu, gdy zaczęła się lekko pofałdowana równina i z prawej strony wyjrzały wzgórza. Dwa rysowały się szczególnie wyraźnie, mimo że były bardzo oddalone. Jeśli się nie myliłem, to mieliśmy przed sobą obie góry Magrahamu. Lecz w takim razie nie jechaliśmy do ruin, które były celem wyprawy naszego wojska; stąd też wynikało, że Uled Ayarzy opuścili ruiny i skierowali się ku Magrahamowi.

Zakreśliliśmy bardzo duży łuk. Wedle moich przypuszczeń warr był oddalony od nas w prostej linii o dobrą godzinę jazdy na północ. Było to bardzo ważne spostrzeżenie.

Wkrótce zobaczyliśmy szczególny okaz góry. Zwarta masa wznosiła się równo z prawej i lewej strony na znaczną wysokość, pośrodku zaś była przekrojona aż do samego dołu, jak gdyby jakiś olbrzym położył na ziemi przeogromny bochen chleba, przedzielił na dwie połowy długim, wielokilometrowym nożem, a następnie odrzucił nieco od siebie. Boki góry były łatwo dostępne, natomiast ściany przepaści, a raczej wąwozu, wznosiły się prawie zupełnie pionowo.

Ten wąwóz wkrótce będzie dla nas wiele znaczył — powiedziałem sobie, kiedy go zobaczyłem, i rzeczywiście, miało się to sprawdzić jeszcze tej samej nocy.

Zanim dotarliśmy do wąwozu, odwróciłem się i obejrzałem okolicę, którą przebyliśmy. O ile się nie myliłem, poruszał się w oddali, w głębokiej oddali, mały jasny punkcik, który miał pozorną wielkość grochu. Był to na pewno jasny burnus. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi — i to się istotnie sprawdziło — że białym punkcikiem może być tylko Winnetou. Pojechał po naszych śladach, przebył tę samą drogę, co my, teraz zaś musiał widzieć ii lepiej niż ja jego, ponieważ było nas pięćdziesięciu w białych burnusach. Przypuszczałem, że mimo niebezpieczeństwa, wkrótce zdoła się ze mną lub nawet z nami wszystkimi porozumieć.

Dotarliśmy wreszcie do wąwozu, którego ściany były gładkie niby ni żem ścięte. Ledwie przejechaliśmy pięćset kroków, gdy usłyszeliśmy zgiełk, świadczący o bliskości wojennego obozu Beduinów.

Wkrótce ujrzeliśmy namioty, między którymi poruszało się mnóstwo postaci. Tu i ówdzie leżało nagromadzone suche drewno, które w no miało oświetlać obóz. Setki osób biegły na spotkanie, witając swego zwycięzcę iście orientalnymi okrzykami radości. Za namiotami obozowali żołnierze, strzeżeni przez strażnika a jeszcze dalej spostrzegłem wielki tabun koni. W tym tłumie nie dojrzałem ani jednej kobiety. Był to zatem on wojenny. Żołnierze, leżący za namiotami, byli jeńcami z okrążonego szwadronu, który, jak się wkrótce dowiedziałem, poddał się Uled Ayarom. Byłem pewien, że wnet zobaczę kolon siego Kalafa Ben Urik albo, jak i naprawdę nazywał, Tomasza Meltona, mordercę i szulera. Złościło mnie, że zobaczy swego wroga w niewoli, pocieszałem się jednak, że on również jest jeńcem. Lecz oto miała mnie spotkać nowa niespodzianka.

Nie mogłem pojąć, dlaczego Uled Ayarzy rozłożyli obóz w tak wąskim przesmyku. Wszak gdyby się nasze wojska rozbiły na dwa oddziały i natarły z obozu stron wąwozu, wówczas Uled Ayarzy znaleźliby się w potrzasku. Nie wiedziałem, że szybko dowiem się prawdy.

Łatwo sobie wyobrazić jakimi spojrzeniami, wyzwiskami i szyderstwami przywitano nas w obozie.

Największy namiot, ozdobiony półksiężycem oraz innymi godłami, opierał się o lewą ścianę wąwozu. Był to niewątpliwie namiot szejka. Do niego skierowało nas sześciu jeźdźców. Przy wejściu zsiedli z koni i odwiązali nas od wierzchowców. Przed namiotem siedział na kobiercu starzec z długą, siwą brodą, która mu nadawała czcigodny wygląd. Patrzył na nas uważnie. Ja

również przyglądałem mu się wnikliwie. Spojrzenie jego miało wyraz szczery, choć surowy. Twarz tego człowieka mogła wzbudzić zaufanie, a nawet serdeczną sympatię. Sama postawa wojowników, okrążających go w odpowiedniej odległości, wskazywała na respekt i szacunek, jakim się cieszył w swoim plemieniu. Pociągał od czasu do czasu z długiej fajki, którą trzymał w ręku.

Drab o małpiej twarzy zbliżył się do niego i wręczył mu naszą broń, a zdawszy półgłosem relację z wyprawy, oddalił się z pięcioma swymi towarzyszami i końmi. Wówczas zniecierpliwiony Krüger–bej podszedł do szejka i rzekł:

— Znamy się dobrze. Jesteś Mubir Ben Safa, naczelny szejk Uled Ayarów. Witam cię!

Szejk odpowiedział:

— Tak, znam ciebie, lecz nie witam. Kto są ci dwaj?

— Ten to Kara ben Nemzi z Belad el Alman, a tamten to Behluwan–bej z Belad el Ingeliza.

— Był przy tobie jeszcze jeden obcy z Belad el Amerika?

— Tak. Skąd wiesz? — zapytał zdumiony dowódca.

— Wiem wszystko, ale skąd, to nie twoja sprawa. Gdzie jest Amerykanin?

— Przy moich ludziach.

— Szkoda! Jest tu ktoś, kto by go chętnie zobaczył.

Myślał zapewne o Meltonie, który, jak przypuszczałem, znajdował się wśród jeńców.

W tej chwili przybiegł jakiś wysoki, chudy Beduin, do którego szejk zawołał:

— Czy już pogrzebany?

— Niezupełnie — odpowiedział Beduin. — Mogiła jeszcze nie zasypana. Przybiegłem tutaj, ponieważ słyszałem, że udał się mój fortel. Gdzie jest obcy z krainy Amerika?

— Nie ma go z nimi.

Gdy teraz przybysz zbliżył się do nas, Krüger–bej zawołał ze zdumieniem:

— Kalaf Ben Urik, mój kolorasi! Jesteś więc w niewoli?

— Nie, jestem wolny — odparł dumnie kolorasi.

— Wolny? W takim razie i ja będę wolny, ponieważ sądzę, że…

— Milcz! — przerwał zdrajca. — Nie spodziewaj się po mnie żadnej pomocy! Nie mam z tobą nic…

Urwał zdanie i cofnął się odruchowo o parę kroków, albowiem zobaczył i poznał mnie, lecz nie dowierzając własnym oczom, zapytał szybko szejka:

— Czy ten jeniec wymienił swoje nazwisko?

— Tak. Nazywa się Kara ben Nemzi z Belad el Alman.

— All devils![*] A więc widziałem dobrze, aczkolwiek było to niewiarygodne! Old Shatterhand! Pan jest Old Shatterhandem?!

Uśmiechnąłem się dyskretnie i nie odpowiedziałem.

— Old Shatterhand! — mówił. — Czy podobna uwierzyć? A jednak…

Już wówczas mówiono, że Old Shatterhand bywał na Saharze. Człowieku, jeśli nie chcesz, abym cię uważał za tchórza, mów, odpowiadaj! Czy jest pan człowiekiem, którego potrójnie przeklęte imię przed chwilą wymieniłem?

Mówiąc to, położył mi rękę na ramieniu. Otrząsnąłem się i rzekłem:

— Niech się pan zastanowi, Tomaszu Meltonie! Ilekroć Old Shatterhand wpadał na pański trop, nie dawało to panu powodów do radości.

— A więc jest pan Old Shatterhandem! I przybył pan tu wraz z Krüger–bejem, z tym starym zwariowanym niemieckim włóczęgą, aby nauczyć rozumu Uled Ayarów? No, cieszcie się teraz! Będzie wam tak dobrze, jak w raju. Czy nie myśli pan czasem o forcie Uintah?

[*] Niech to wszyscy diabli!

— Bardzo często — odpowiedziałem z takim wyrazem twarzy, jak gdyby oznajmiono mi, że mam poślubić najpiękniejszą córkę Wielkiego Mongoła. — Jeśli się nie mylę, musiał pan z dosyć ważnych powodów uciec stamtąd.

— A myśli pan czasem o forcie Edwarda?

— Tak samo. Jak mi się zdaje, uchwyciłem tam pana nieco za czuprynę.

— Tak, gonił mnie pan przez lasy i prerie niby wściekłego psa, którego zabija się i grzebie jak najgłębiej. Może pan sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą pana oglądam, tak cudownie zjawiającego się w tym miejscu, i z jaką serdecznością pochwycę w objęcia. Powiadam panu, rozpłynie się master w nieopisanym szczęściu. Jestem panu winien ogromną wdzięczność, większą niż mógłby pan przypuszczać. Czy może master sobie przypomnieć mego brata Harry'ego?

— Tak. Znam pańską miłą rodzinkę dość dobrze…

— Oho, zobaczymy! A więc myśli pan czasem o hacjendzie del Arroyo?

— …którą pański brat kazał spalić i splądrować?

— Tak.

— A także o Almaden?

— …gdzie pojmałem pańskiego brata. Tak.

— Stracił dzięki panu cały majątek. Ukrył go w Almaden, a kiedy wrócił, nie znalazł po nim śladu. Jakiś przeklęty Indianin musiał skarb zwąchać w starym szybie.

— Myli się pan. Ja zabrałem pieniądze i rozdzieliłem pomiędzy biednych emigrantów, których brat pański unieszczęśliwił.

— Thunderstorm![*] Czy to prawda? No, podziękuję panu, tak że wszystkie pańskie stawy będą trzeszczały! Bodajby to mój brat był tutaj! Jaką rozkosz czułby, widząc pana jako mojego jeńca. Pewnie sądził pan, że brat mój nie żyje?

— Sądziłem.

— Niech mnie pan nie rozśmiesza! Przekazał go pan Indianom tak samo, jak Uled Ayarzy wydadzą mi pana. Ale mój brat zdołał umknąć i czuje się zupełnie dobrze, co zapewne pana cieszy. Dodam, że musi master cieszyć się szybko, gdyż mało czasu zostało. Najpóźniej jutro rano wyciągnie pan kopyta.

— Phi! — roześmiałem się, aby go podrażnić, a tym samym wydobyć jakieś wiadomości o planach Ayarów.

— Nie śmiej się! — ostrzegł. — Mówię poważnie.

— A mimo to nie bardzo mi się chce wierzyć, że jestem w pańskiej mocy. Nie będzie panu łatwo wykonać pogróżki.

— Czy dlatego, że jest pan Old Shatterhandem i że się pana lękam?

— Bynajmniej, aczkolwiek nieraz dowiodłem, że Old Shatterhand w najgorszych okolicznościach i z bardziej niebezpiecznymi ludźmi umiał sobie radzić. W tym wypadku wyręczy mnie wojsko, z którym przybyłem.

— A ja panu powiadam, że umrze master, zanim tutaj nadejdą.

— W takim razie pomszczą moją śmierć, gdyż nie wątpię, że was pokonają.

Parsknął śmiechem i zawołał:

— Go za naiwność!

— Śmieje się pan? Nasi żołnierze będą was po dwóch pędzić do niewoli.

— Oho! Znam trochę lepiej tych tchórzów. Opowiem panu, co nastąpi.

Mimo że osiągnąłem swój cel, przerwałem Meltonowi, aby go jeszcze bar dziej podrażnić.

— Zachowaj to pan dla siebie! Wiem lepiej od pana. Byliście tak lekkomyślni, że zatrzymaliście się w tym wąwozie, który jest rzeczywistą pułapką. Jutro, najpóźniej w

[*] Do stu piorunów!

południe, przybędą nasze wojska i zamkną was w wąwozie, z którego już nie zdołacie się wydostać.

— Tak pan twierdzi? Nie przeczuwa pan zatem, że opowiadając mi to, postępuje niezwykle głupio? Przypuśćmy, że istotnie byliśmy tak nieroztropni i sami wleźliśmy w pułapkę, w takim razie pan zwrócił naszą uwagę na niebezpieczeństwo i dzięki panu postaramy się je zażegnać.

— Na Boga! — krzyknąłem z wyrazem twarzy człowieka, który spostrzegł, że strzelił gafę.

— Ach, widzę, że uświadamia master sobie, jaki jest naiwny. Ale niech się pan o nas nie martwi! Weszliśmy do wąwozu, ponieważ nikt nas tutaj nie odkryje. Możemy stąd strzelać, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo. Lecz jutro rano połowa naszych ludzi opuści to miejsce, podczas gdy druga połowa cofnie się w głąb wąwozu, aby nikt jej nie dostrzegł. Pierwsi ukryją się za górą. Potem przybędą wasze bitne wojska, wjadą do wąwozu i znajdą się w potrzasku, ponieważ reszta Uled Ayarów wpadnie na nich i wpędzi pod broń swoich braci. Nawet dziecko przyzna, że nie pozostanie wam nic innego, jak zdać się na naszą łaskę i niełaskę!

Wiedziałem już, czego się chciałem dowiedzieć. Udawałem jednakże, że przekonały mnie argumenty Meltona. Na twarz przywołałem zakłopotanie. Po chwili jednak rozjaśniłem oblicze i rzekłem:

— To obliczenie byłoby istotnie dobre, gdyby nasi żołnierze zechcieli wjechać do wąwozu.

— Wjadą, w tym już moja głowa. Pomyśleliśmy już o tym. Przewodnik, którego obdarzyliście tak wielkim zaufaniem, jest ze mną w zmowie. Przyprowadził was nad wodę. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem i pobliżu waszego obozu i z mojego polecenia pozbawił wojsko wodza. On też zaprowadzi wasze oddziały do wąwozu.

— Do licha! Jest pan przecież oficerem i powinien trzymać z Krüger–bejem!

— Brednie! Zbyt długo giąłem się przed nim i ubiegałem o jego łaski, teraz mam inne, poważniejsze zadanie i inne widoki na przyszłość. Wracam do Stanów Zjednoczonych i nie pominę sposobności, aby zabrać ze sobą suto wypełnioną kiesę. Umyślnie dałem się okrążyć. Z całym rozmysłem prowadziłem moich żołnierzy do szejka Uled Ayarów. Przez wysłańca zwabiłem Krüger–beja i jego trzy szwadrony. Żołnierze należą do szejka. Niech ich sobie basza wykupi. Krüger–bej należy do mnie i zapłaci za wolność pokaźną kwotę. Ten zaś Anglik oraz Amerykanin, znajdujący się przy waszym wojsku, również nie poskąpią sowitego okupu. Ale w pańskiej osobie przypadek przyniósł mi najcenniejszy połów. Niech pan nie myśli, że przyjmę od pana pieniądze, o nie! Musi pan umrzeć! I to jak umrzeć! Wszystko, co pan wyrządził złego mnie i memu bratu, skupi się teraz na panu. A czy pan wie, dlaczego o tym mówię?

— Nie. Nie mogę pojąć pańskiej wylewności.

— Mówię to wszystko, aby dowieść, że nie wątpię o powodzeniu. Nie ma dla pana ratunku.

— Ani też dla Anglika, Amerykanina i Krüger–beja.

— Dlaczego?

— Z chwilą, gdy dostanie pan za nich gotówkę lub weksle, zabije ich pan lub każe zabić, aby nie mogli ujawnić pańskiej zdrady.

— Patrzcie go, jaki mądrala! — szydził ze mnie. — Jak ja sobie z nimi będę poczynał, to pana nie powinno obchodzić, to rzecz ich i moja. Opłacą tylko koszta mego powrotu do Ameryki. Tam znajdę masę pieniędzy, o tym już pomyślano.

— Zapewne spadek — wyrwało mi się na poły bezwiednie, na poły świadomie.

Roześmiał się wesoło, nie podejrzewając, że wiem o wszystkim.

— Tak, spadek, szanowny panie. No, na teraz dosyć szczerości. Dowódca niech zostanie przy szejku. Pan oraz Anglik będą w moim namiocie, gdzie będę was strzegł tak troskliwie, że nie wyjdziecie z podziwu dla wytrzymałości moich rzemieni i sznurów. Tylko jeszcze słówko szejkowi! — mówiąc to zwrócił się do starca: — Krüger–bej chwilowo należy do ciebie. Strzeż go odpowiednio! Tych dwóch zabieram ze sobą, są moją własnością, tak samo jak Pan Zastępów, którego ci zostawiam, abyś mógł z nim pomówić o warunkach wykupu żołnierzy.

Emery stał przy mnie i słyszał każde słowo tego opryszka. Zdrajca ujął nas za ręce i chciał z nami odejść. Lecz wówczas zatrzymał go szejk:

— Stój! Jeszcze ja mam coś do załatwienia z tobą.

Twarz szejka przybrała ponury, rzec można, groźny wygląd. Przypuszczałem, że nie pozwoli Amerykaninowi uprowadzić nas, co było mi bardzo na rękę. O życie byłem spokojny, lecz należało sądzić, że gorzej nam będzie w namiocie Meltona niż u szejka. Pewny zaś byłem życia z dwóch przyczyn: nie wątpiłem, że ja i Emery zdołamy się jakoś wydostać z niewoli, ale na wet gdyby nam się nie powiodło, i mogłem wszak liczyć na pomoc Winnetou. Zdawało mi się po prostu, że zobaczę go natychmiast, skoro spojrzę do góry. Uczyniłem to i — rzeczywiście! Ledwie wzniosłem oczy, gdy u góry, nad kantem pionowej ściany, podniosła się jakaś postać, uczyniła parę wyraźnych gestów i natychmiast znikła. Z tej odległości wyglądał jak karzełek, lecz ja poznałem go doskonale. To był na pewno Winnetou. Dawał mi znaki, że jego orle oko dojrzało nas z góry. Byłem zupełnie spokojny. Wiedziałem, że nie ulęknie się niebezpieczeństwa, byle nas uratować. Pozostanie na wzniesieniu, dopóki nie zobaczy, dokąd nas zaprowadzą.

— Tam na górze leży Winnetou i obserwuje — szepnąłem do Emery'ego. — Zejdzie do nas, kiedy się uciszy.

— W porządku — odpowiedział, nie podnosząc oka. — Fantastyczny chłop! Wyciągnie nas z kabały.

Tymczasem kolorasi zwrócił się z wyrazem zdziwienia do szejka i zapytał:

— Co masz mi do powiedzenia?

— To, czego nie wiesz, mianowicie, że znajdujesz się w obozie Uled Ayarów i że ja jestem wodzem tych wojowników.

— Wiem o tym.

— Dlaczego więc zachowujesz się tak, jak gdybyś ty był ich wodzem? Dlaczego rozporządzasz się naszymi jeńcami, jak gdyby byli twoimi?

— Bo są nimi!

— Nie! Zostali schwytani przez moich wojowników. Kto złapał ptaka, ten go posiada. Obaj ci mężowie zostaną przy mnie, tak samo jak i Pan Zastępów.

— Nie mogę do tego dopuścić!

— Nie pytam, czy dopuszczasz, czy nie! Tu liczy się tylko moja wola.

— Nie! W tym wypadku moja wola decyduje! — i wskazując na mnie, dodał: — Nie wiesz, jakie mam porachunki z tymi ludźmi. Ten oto jest zbiegłym przestępcą, który ma na sumieniu morderstwa, i wiele, wiele innych zbrodni. Usiłował zgładzić mnie i mego brata, co mu się na szczęście nie udało. Poprzysiągłem mu przeto krwawą zemstę. Skoro wpadł w moje ręce, należy do mnie, a nie do ciebie!

Zbliżyłem się do zdrajcy, nie mogąc jednak sięgnąć ręką, kopnąłem go tak silnie, że przewrócił się i upadł.

— Łotrze! — zawołałem. — Odwracasz prawdę. Ty sam jesteś uciekinierem i mordercą! To ja ciebie ścigałem, aby przekazać sprawiedliwości!

— Psie! — krzyknął, zrywając się i rzucając na mnie. Jak śmiesz kłamać!

W skoku otarł się o Emery'ego, który dał mu takiego kopniaka, że Melton runął ponownie i stracił przytomność. Cios był zadany z tak błyskawiczną szybkością, że nikt nie mógłby mu zapobiec. Zresztą, nie sądzę, aby ktokolwiek miał ku temu szczególne chęci.

Chciałem przemówić do szejka, lecz ruchem ręki nakazał milczenie i rzekł:

— Cicho! Uszy moje nie chcą słuchać, co twoje usta pragną powiedzieć. Niech was to zadowoli, że nie poniesiecie kary za pobicie tego człowieka. Możecie wnioskować, jakiego jestem o nim zdania. Nazwał cię zbiegiem i mordercą. Nie wyglądasz bynajmniej jak zbiegły przestępca, wierzę przy tym, że Pan Zastępów nie ścierpiałby takiego przy sobie, przy swoim wojsku. A poza tym przejrzałem na wylot kolorasiego. To morderca. Nawet dzisiaj zastrzelił

człowieka, który był jego przyjacielem. Z wami to się nie zdarzy. Nie wydam was. Jesteście moimi, nie jego jeńcami.

— Czy mam ci opowiedzieć, dlaczego nastaje na moje życie?

— Teraz nie, ponieważ nie mam czasu. Oto, co się z wami stanie. Abyście nie mogli uciec, nakażę was dobrze strzec i każę rozłączyć, abyście nie mogli się porozumieć. Każdy będzie spał w innym namiocie. Tu przy mnie zostanie Pan Zastępów.

— Muszę ci jednak opowiedzieć kilka ważnych rzeczy, które dowiodą…

— Nie teraz, nie teraz! — przerwał. — Później, kiedy będzie pora na rozmowy, będziesz mógł ze mną mówić, ile twa dusza zapragnie.

Zawołał dwóch Beduinów i udzielił im po cichu wskazówek. Jeden odprowadził mnie do namiotu, spętał nogi, wbił głęboko w ziemię kołek i przywiązał doń sznurami. Po czym przed wejściem usiadł na straży.

Rozłąka z przyjaciółmi nie była mi na rękę, lecz nic na to nie mogłem poradzić.

Tymczasem coraz gęstszy zapadał zmrok. Po modlitwie wieczornej strażnik przyniósł mi kilka łyków wody. Jeść mi nie dawano. Trzeba nadmienić, że strażnik już wcześniej wypróżnił mi kieszenie.

Poprzez płótna namiotu widać było wiele płonących ognisk. Niebawem zgasły wszystkie, prócz jednego. Zgiełk życia obozowego zamilkł. Ułożono się do snu dość wcześnie, ponieważ nazajutrz, jeszcze przed świtem, część oddziału miała wyruszyć z wąwozu.

Mój strażnik co jakiś czas wchodził do namiotu, aby się przekonać, czy nie zamierzam się uwolnić.

Z gorliwością starałem się rozplatać więzy i wierzyłem, że w ciągu nocy zdołam oswobodzić ręce, po czym byłbym uratowany. Ale było to zbędne, gdyż około północy usłyszałem za namiotem lekki szelest. Panował głęboki mrok. Uświadomiłem sobie, że sprawcą szmeru może być tylko Winnetou. Wytężyłem słuch.

— Szerlieh, Szerlieh — tuż przy mnie odezwał się słaby szept.

— Jestem tu — odezwałem się również szeptem.

— Oczywiście związany?

— Związany i przymocowany do pala.

— Czy strażnik tutaj zagląda?

— Od czasu do czasu.

— Jakże was schwytano?

Opowiedziałem pobieżnie, wspomniałem o zdradzie kolorasiego i dodałem:

— Krüger–bej znajduje się w namiocie szejka. Co się tyczy Emery'ego, to wkrótce stwierdzimy, gdzie go umieszczono.

To już wiem, widziałem, jak go zaprowadzono do obozu po przeciwległej stronie.

— Rozetnij mi pęta! Musimy się śpieszyć, aby ich wyzwolić.

— Popsułoby to całą sprawę — rzekł Winnetou. — Uled Ayarzy nie powinni spostrzec waszego zniknięcia, gdyż to może naprowadzić ich na myśl, że nasze wojsko jest blisko, wobec czego natychmiast opuszczą wąwóz. Musicie zatem tutaj pozostać. Czy mój brat Old Shatterhand godzi się z moim zdaniem?

— Tak, ale musiałbym wiedzieć, że nasi żołnierze na pewno przybędą.

— Nie musisz wiedzieć, albowiem sam ich sprowadzisz.

— Wszak nie mogę stąd uciec! Strażnik zauważy moją nieobecność i uderzy na alarm.

— Nic nie zauważy, ja bowiem zastąpię mego brata.

— Ty? — zawołałem prawie głośno. — Jakaż to ofiara!?

— To nie ofiara! Wiesz, że ja nie znam języka żołnierzy. Jeśli do nich wrócę, nic nie zdołam zrobić. Jeżeli pójdziemy razem, zauważą to w obozie i udaremnią nasze plany. Jeśli zaś ja tutaj zostanę, a ty odejdziesz, zdołasz w ciągu nocy zamknąć ich w wąwozie jak w potrzasku. A to, że zostanę zamiast ciebie, nie grozi wszak żadnym niebezpieczeństwem.

Przyznałem mu słuszność. Może mi ktoś zarzuci, że zgodziłem się na zamianę, ale znaliśmy się bardzo dobrze i wiedzieliśmy, że możemy na sobie polegać.

— Dobrze — oświadczyłem. — Czy byłeś przy naszych ludziach od momentu, gdy nas schwytano?

— Nie miałem na to czasu. Musiałem przede wszystkim ciebie wyzwolić.

— Jakże do nich trafię, skoro nie wiem, gdzie ich szukać?

— Jeśli pojedziesz wprost na północ, z pewnością się na nich natkniesz. W każdym razie obozują tam, gdzie kończą się skały.

— Na południowym końcu warru? Tak też sądziłem. Mówisz o jeździe, masz na myśli swego konia?

— Tak. Wyjdziesz z wąwozu i przejdziesz tysiąc kroków na północ. Tam znajdziesz mego wierzchowca. Broń wisi u siodła. Mam przy sobie tylko nóż.

— Zachowaj go, aby mieć jakąś broń w potrzebie. Lecz co się stanie, gdy strażnik przemówi do ciebie!? Wszak nie potrafisz odpowiedzieć.

— Będę chrapał, aby myślał, że śpię.

— Dobrze! Mam nadzieję, że wkrótce powrócę. Czy uprzedzić cię sygnałem?

— Tak. Trzema krzykami sępa.

— Doskonale. Rozwiąż mnie, po czym ja ciebie zwiążę tak, abyś w każdej chwili mógł uwolnić ręce.

Tak też zrobiliśmy. Pożegnałem Apacza i wylazłem z namiotu. Płótno było u dołu przymocowane sznurami do kołków; Winnetou rozluźnił dwa sznury i podniósł płótno o tyle, że mógł przepełznąć. W ten sam sposób wydostałem się z namiotu. Będąc już na wolności, z powrotem związałem sznury; strażnik nawet się nie zorientował.

Mówiąc ściśle, nie byłem jeszcze wolny, musiałem wszak przekraść się przez większą część obozu. Nów księżyca, niewidoczny w głębi wąwozu, spokojnie świecił na niebie. W jego świetle widziałem wyraźnie gromady śpiących Beduinów, skupionych w grupach, które łatwo było ominąć. Jak wąż pełzałem po ziemi i po upływie kwadransa minąłem ostatniego Uled Ayara. Wtedy podniosłem się i pomknąłem na północ.

Beduini, czując się bardzo bezpiecznie, nie postawili nawet posterunku u wyjścia wąwozu. Teraz biegłem ku wierzchowcowi Winnetou, którego spostrzegłem w odległości dwustu kroków. Dosiadłem rumaka i pojechałem, odzyskawszy wraz z bronią i wierzchowcem całkowitą pewność siebie.

Pędziłem wciąż na północ. Księżyc był w pierwszej kwadrze, lecz świecił tak mocno, że widać było wyraźnie wielką przestrzeń dokoła. Po godzinie dotarłem do pierwszych głazów, którymi zaczynał się warr. Trzeba było odszukać nasz obóz, zadanie niezbyt łatwe tutaj, między gęsto spiętrzonymi skałami. Wystrzeliłem ze srebrnej strzelby Winnetou raz, potem drugi i po chwili odezwały się z zachodniej strony dwa strzały. Jadąc w ich kierunku, wkrótce natknąłem się na oddział żołnierzy.

W obozie przyjęto mnie z radością. Zapytałem natychmiast o przewodnika. Stawił się na wezwanie, nie okazując po sobie ani śladu strachu czy zakłopotania.

— Czy wiesz, jak nas schwytano? — zapytałem.

— Tak, panie. Byłem przy tym obecny.

— Jakim cudem ty jeden uniknąłeś naszego losu?

— Nie zsiadałem z konia, mogłem więc szybko uciec.

— Hm, tak. A potem co zrobiłeś?

— Zameldowałem o zdarzeniu.

— Następnie?

— Szukaliśmy was na pustyni.

— Dlaczego na pustyni?

— Należało przypuszczać, że Uled Ayarzy tutaj się z wami ukryją.

— Nie poszliście zatem po ich śladach?

— To było zbędne, ponieważ uczynił to już twój przyjaciel, Ben Asra.

— Ach, dlatego było zbędne! Jeśli ktoś jeden postępuje właściwie, to uważasz, że dla innych jest to zbędne? Przytaczasz szczególne powody. Ale w istocie właściwy powód jest inny. Gdzie byli Uled Ayarzy, zanim na nas napadli?

— Za skałami.

— Tam nas oczekiwali. Musieli zatem być poinformowani, że przyjedziemy, a mogli mieć te wiadomości tylko od kogoś, kto wiedział, że zaprowadzisz nas nad wodę. Kto o tym wiedział?

— Nikt.

— Tak, nikt prócz ciebie. A zatem ty byłeś tym osobnikiem.

— Ja? Allach, o Allach! Co za posądzenie! Czy nie dowiodłem swej wierności? Przecież to ja pojechałem do Tunisu, aby sprowadzić posiłki!

— Chcesz powiedzieć: aby Uled Ayarom napędzić więcej jeńców. Kim był ten jeździec, z którym wczoraj w nocy porozumiewałeś się w pobliżu obozu?

Nie spodziewał się takiego pytania. Po prostu oniemiał ze strachu.

— Odpowiadaj! — rozkazałem.

— Panie, na… na takie… na takie pytanie… nie mogę odpowiedzieć!

— Możesz! Kto to był?

— Z nikim nie rozmawiałem! Nie oddalałem się z obozu!

— Nie kłam! Rozmawiałeś z kolorasim Kalafem Ben Urik i wspólnie z nim ułożyłeś, jak wydać nas w ręce Uled Ayarów.

— Maszallah! Panie, powiedz, kto mnie tak oczernił, abym go z miejsca mógł zastrzelić!

— Nie mów o strzelaniu, ponieważ ty sam będziesz rozstrzelany. Na mocy praw wojennych zasłużyłeś na śmierć.

— Panie, jestem niewinny! Wiem…

— Milcz! Po naszym zniknięciu ty jako przewodnik kierowałeś poszukiwaniami i umyślnie sprowadziłeś je na manowce. Kolorasi sam opowiadał, że jest z tobą w zmowie.

— To łotr! To on…

— Dość! Jesteś zdrajcą i chciałbyś nas wszystkich zaprowadzić pod topór. Rozbroić łajdaka, i związać mocno! — zwróciłem się do żołnierzy. — Pan Zastępów jutro wyda na niego wyrok.

Żołnierze byli tak zdumieni oskarżeniem o zdradę podoficera, którego dotychczas obdarzano kompletnym zaufaniem, że zwlekali z wykonaniem rozkazu. Skorzystał z tego przewodnik, krzycząc:

— Wyrok? Prędzej ciebie dosięgnie i to niezwłocznie, przeklęty giaurze!

Wyciągnął nóż i usiłował zatopić w mojej piersi, aby później korzystając z popłochu uciec. Miałem pod ręką broń Winnetou, którą szybko odparowałem cios, po czym uchwyciłem zdrajcę; Wyślizgnął się jednak spod moich rąk i pomknął naprzód ku koniom. Obecni byli tak zaskoczeni, że nikomu nie wpadło na myśl go ścigać. Stałem również na miejscu ze strzelbą gotową do strzału.

Właściwie przewodnik nie obchodził mnie. Dla mnie mógł nawet zniknąć. Ale było rzeczą jasną, że ucieknie do Uled Ayarów, a temu za każdą cenę należało zapobiec. Bloki skalne zasłaniały konie. Ale gdyby dosiadł któregoś, górna część ciała wznosiłaby się ponad skałami. Na to właśnie liczyłem. Rozległo się parskanie konia, a po chwili tętent kopyt. Przewodnik dosiadł wierzchowca i spiął go ostrogami. Widziałem jego głowę i plecy, więc wycelowałem w prawe ramię; rozległ się krzyk i jeździec znikł za skałą.

— Strąciłem go z konia — rzekłem, odkładając strzelbę. — Sprowadźcie go tutaj.

Kilku żołnierzy pobiegło i po chwili przyniosło rannego przewodnika.

— Niechaj hekim* opatrzy ranę, po czym trzeba go będzie związać — rozkazałem. — Nie wolno go spuszczać z oka.

— Dlaczego związać? — zabrzmiał za mną czyjś głos. — Ten człowiek spisał się dzielnie i prowadził dobrze. Czy można zastrzelić człowieka jedynie na skutek posądzenia?

Było to powiedziane po angielsku. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem rzekomego Huntera. Przyszedł akurat w porę.

— Gani mnie pan? — zapytałem również po angielsku. — Nie ma pan prawa.

— Czy posiada pan dowody winy tego podoficera?

— Tak.

— Musi je pan przedstawić, aby oddać go pod sąd wojenny. W każdym razie nie miał pan prawa do niego strzelać.

— Wiem, co czynię. Za to, co zrobiłem i jeszcze zrobię, odpowiem przed Krüger–bejem. Cóż to, dlaczego pan tak gorąco ujmuje się za zdrajcą?

— Należy dopiero dowieść, że jest zdrajcą!

— To już dowiedzione. A pan broni go, nie będąc do tego upoważniony. Czy mógłby pan wskazać powód takiego postępowania?

— Czy muszę się przed panem usprawiedliwiać? Postępuję według własnego uznania!

— Takie jest pańskie zdanie, moje jednak jest nieco odmienne. Czy mam panu powiedzieć, dlaczego zawarłeś skrytą przyjaźń z tym człowiekiem?

— O, to będzie dla pana zbyt trudne!

— Niezwykle łatwe. Przewodnik jest ogniwem, łączącym pana z kolorasim Kalafem Ben Urik, którego pragnie pan uwolnić.

— Skoro jest tak, żałuję bardzo, że darzyłem pana zaufaniem i że w ogóle się panu zwierzałem.

— Powinien pan zatem jeszcze bardziej żałować, że zna, z czego mi się już inni zwierzyli, niejakiego Tomasza Meltona.

— To–masz Mel–ton! — wykrztusił pojedynczymi zgłoskami. Zbladł śmiertelnie.

— Tak. Nie przeczy pan chyba, że zna lub przynajmniej słyszał o tym człowieku?

Ponieważ zapytałem o Meltona, przeto sądził zapewne, że wiem coś więcej. Lecz nie mógł przypuszczać, abym znał całą prawdę.

— Wcale nie myślę przeczyć temu, że znałem to nazwisko. Lecz cóż to pana obchodzi?

— Bardzo mało, jak pan się wkrótce przekona. Czy wie pan, kim był Tomasz Melton?

— Tak. Westmanem.

— A nadto mordercą i szulerem.

— Być może. To mnie nie interesuje.

— Dziwi mnie to bardzo, przypuszczam, że słyszał pan o jego dziwnej przygodzie w forcie Uintah.

— A pan ją też zna? — zapytał, zdradzając się tym nieoględnym pytaniem.

— Trochę. Wówczas także grał fałszywie i został schwytany. W bójce zastrzelił oficera i dwóch żołnierzy. Czyż było inaczej?

— Być może — odpowiedział z udaną obojętnością.

— Potem ujawnił się w forcie Edwarda, jak pan zapewne wie?

— Dlaczego się pan pyta? Nie interesuje mnie ta sprawa.

— Ani mnie. Lecz wnet pańskie zainteresowanie spotęguje się, skoro zwierzę się panu z czegoś, co mi leży na sercu. Jeśli się nie mylę, zapędził go do fortu Edwarda pewien westman, który… który… Hm, hm, jak się on nazywał?

— Old Shatterhand.

— Tak, istotnie! Teraz sobie przypominam. Old Shatterhand. Był to Szkot czy Irlandczyk?

---

* Lekarz wojskowy

— Nie. Był to Niemiec, który we wszystkim maczał swe palce.

— Tak, wtrącał się do wszystkiego. Przypominam sobie jeszcze inne zdarzenia, w których Old Shatterhand dorzucił swoje trzy grosze. Czy Tomasz Melton miał brata, który nazywał się Harry i wyjechał do Meksyku, do Sonory, w celu nabycia posiadłości?

— Słyszałem o tym.

— Czyż to nie Old Shatterhand przepędził go stamtąd?

— Tak.

— A Tomasz Melton ma podobno syna, któremu na imię jest Jonatan?

— Do stu tysięcy diabłów! Jak pan do tego doszedł?

— Tak, jak się z nudów czegoś dochodzi. Jonatan Melton wyjechał jako towarzysz podróży do Europy, a następnie na Wschód.

— Skąd… skąd… skąd pan wie?

— Dowiedziałem się przypadkowo. Towarzyszył pewnemu Amerykaninowi, który… Hm, jak się nazywa? Czy nie wie pan przypadkiem?

— Nie.

— Nie? To mnie nadzwyczaj dziwi, gdyż dam sobie odciąć głowę, jeśli ten Amerykanin nie nazywał się zupełnie tak samo, jak pan, mianowicie Small Hunter. Czyż nie tak?

— Nie wiem. Zostaw mnie pan w spokoju z tymi pytaniami. Napawają mnie wstrętem.

— Ale nie mnie, gdyż sprawa jest, naprawdę wcale ciekawa. A czy wie pan, co w tym jest najdziwniejsze?

— Nie chcę wiedzieć.

— A jednak! Teraz bowiem zbliżamy się do sedna sprawy. A jest nim fakt, że ja sam odgrywałem wówczas pewną rolę i nawet wcale niepodrzędną. Nie nazywam się Jones, ale Old Shatterhand.

— Old Shat…

Z przerażenia wypowiedział tylko połowę nazwiska i skoczył jak rażony piorunem.

— Tak się nazywam. Wymienił pan moje nazwisko, kiedy powiedział, że we wszystkim maczam palce. Być może i dzisiaj sięgam nimi po pana i po pańskiego kolorasiego Kalafa Ben Urik.

Nie słyszał ostatniego zdania, powtarzając półprzytomnie:

— Old Shatterhand! Pan ma być tym człowiekiem? Niemożliwe!

Zapytaj się Emery'ego, który mnie dobrze zna i był ze mną na Dzikim Zachodzie. I zapytaj się Krüger–beja, który dobrze wie, że nazywają mnie Old Shatterhandem. Ponadto usłyszy pan bardziej oszałamiając nowinę. Otóż drugi mój towarzysz nie jest bynajmniej Somalijczykiem i nie nazywa się Ben Asra, lecz jest słynnym wodzem Apaczów i nazywa się Winnetou.

— Win–ne–tou! — powtórzył z zapartym tchem. — Jest nim isto… istotnie?

— Jak ja jestem Old Shatterhandem: Jeśli pan coś o nas słyszał, to wie zapewne, że jesteśmy nierozłączni.

— Wiem! Lecz czego szukacie tu, w Tunisie?

— Szukamy Tomasza Meltona.

— Do stu piorunów! — zaklął.

— Byliśmy z początku w Egipcie, znaleźliśmy tam jednak, zamiast Tomasza, jego syna Jonatana, który wybierał się do Tunisu. Ponieważ sądziliśmy, że jedzie odwiedzić ojca, przeto pojechaliśmy z nim i…

— I… i co?

— I w istocie nie omyliliśmy się. Znaleźliśmy Tomasza Meltona w postaci pańskiego kochanego kolorasiego Kalafa Ben Urik. Przyrzekłem panu coś bardzo interesującego. Czy dotrzymałem słowa?

— Niech mi pan da spokój! Cóż mnie obchodzą ci ludzie!? Jestem Small Hunter i nie mam z panem nic wspólnego.

Chciał odejść, lecz zatrzymałem go i rzekłem:

— Proszę, niech pan poczeka jeszcze, sir! Wierzę panu, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego, ale wypada zapytać, czyja podzielam to życzenie. W żadnym wypadku nie mogę pozwolić, aby pan odszedł. Wykluczone. Tak, mam nawet zamiar zatrzymać pana przy sobie za zgodą lub wbrew pańskiej woli. Zatrzymam pana do czasu, aż się nie rozmówię z pewnym młodym Amerykaninem, który przybył tutaj wraz z kolorasim, vel Meltonem.

— Nie znam go! Nic o nim nie wiem!

— Tak? A jednak jest to osobistość, którą powinien pan się żywo zainteresować. Nazywa się tak samo, jak pan, mianowicie Small Hunter.

— To niemożliwe!

— Nie, rzeczywiście? Widzi pan, nazwisko tego człowieka rzuca na pana posądzenie, że podszywa się pan pod osobę Smalla Huntera…

— Nie sądzi pan chyba…

— Sądzę, że jest pan prawdziwym, autentycznym Smallem Hunterem i zdoła złożyć na to dowody. Wiem o tym z całą pewnością.

— Skąd?

— Z pańskiego notesu.

— Notes? Co pan o nim wie? Nikt prócz mnie nie zaglądał do mego notesu.

— Myli się pan! Przeglądałem go. Nie tylko ja, Winnetou i mister Emery również. I przejrzę go ponownie w stosownej chwili. Tu jest. Właśnie tu. Sam mi go pan wręczy.

Mówiąc to stuknąłem Meltona w pierś. Cofnął się i krzyknął:

— Niech mnie pan nie dotyka! Nie ścierpię tego!

— O, ścierpi pan o wiele więcej. Baczność!

Zwróciłem się teraz, już nie po angielsku, do okrążających nas oficerów, którzy nie rozumieli naszej rozmowy, lecz z tonu wywnioskowali, że jej treść nie jest zbyt przyjemna dla Jonatana Meltona. Na mój znak schwytano go, powalono i związano. Wyjąłem Jonatanowi z kieszeni pugilares, zostawiając resztę rzeczy, po czym kazałem odprowadzić do jeńców Uled Ayunów, gdzie poleciłem, aby strzeżono go pilnie. Teraz już nie mógł wątpić, że przejrzałem wszystkie jego niecne postępki.

Byliśmy w sile trzech szwadronów kawalerii. Na czele każdego szwadronu stał kolorasi, porucznik i podporucznik. Z tymi dziewięcioma oficerami zrobiliśmy krótką naradę wojenną, przy czym zdałem im sprawę z sytuacji.

— Jeden szwadron, dowodzony przez swego kolorasiego, rozmieści się u wejścia do wąwozu. Drugim szwadronem ja będę dowodził; obsadzimy drugi wylot. Trzeci zaś będzie musiał wspiąć się na górę i zająć oba wierzchołki, aby w razie potrzeby razić ogniem z, góry. Ten szwadron zatem podzieli się na dwa oddziały: jeden pod dowództwem kolorasiego zajmie prawą stronę góry, drugi, pod wodzą porucznika — lewą. W głębi wąwozu, gdzie będę z drugim szwadronem, znajdują się, jak już wspomniałem, konie oraz żołnierze ze szwadronu wziętego do niewoli. Strzegą ich strażnicy Uled Ayarów. Gdyby mi się powiodło od razu naszych uwolnić, mielibyśmy o stu ludzi więcej.

— Kiedy nastąpi atak? — zapytał któryś z oficerów.

— Właściwie wcale nie będzie ataku. Zadaniem pierwszego szwadronu jest jedynie odparcie wroga i to tylko w tym wypadku, gdy będzie usiłował wydostać się z wąwozu. Takie same zadanie ma drugi szwadron. Tylko ja z niewielkim oddziałem napadnę na straż Uled Ayarów i odbiję naszych żołnierzy. Oczywiście, nie obejdzie się przy tym bez krzyków i strzałów, ale nie należy tego uważać za bitwę i przystępować do poważniejszych, a przedwczesnych działań. Pragniemy nie tępić wrogów, lecz brać do niewoli. Strzeżcie się zatem przelewu krwi.

— Musimy więc określić moment, kiedy napadniecie na strażników.

— To prawda. Napadnę w chwili fagru, modlitwy porannej.

— To się nie da zrobić.

— Dlaczego?

— Ponieważ my także musimy się modlić, a podczas modlitwy nie możemy się zajmować wrogami.

— Możecie się modlić i działać. Zapominacie, a raczej nie wiecie, że Uled Ayarzy odmawiają modlitwę poranną według reguł sekty Hanofiego. Wy modlicie się z chwilą, gdy ukazuje się na wschodzie pierwszy promień brzasku. Według Hanofiego zaś fagr następuje nieco później, mianowicie kiedy staje się widoczny el Isfirar, „żółty blask". Gdy Ayarzy rozpoczną modlitwę, wy będziecie już po niej i możecie pełnić swoją powinność. Skoro więc zaczną się modlić, wystąpię naprzód, by odbić jeńców. Wrogowie będą tak oszołomieni naszym przybyciem, przynajmniej w pierwszej chwili, że nie pomyślą o obronie. Wówczas uwolnimy szwadron i będziemy mogli ze spokojem oczekiwać dalszego biegu wydarzeń.

Wymieniwszy jeszcze kilka uwag, pojechaliśmy ku wąwozowi. Po upływie godziny stanęliśmy u celu i podzieliliśmy się na trzy oddziały. Pierwszy szwadron, wyprzedzony kilkoma pieszymi wywiadowcami, ruszył ku wejściu do wąwozu, drugi na prawo i; lewo, ja zaś z ostatnim objechałem górę i dotarłem do południowego wylotu wąwozu. Tam zatrzymałem oddział i udałem się na zwiady.

Uled Ayarzy wykazali wprost nie pojętą bezmyślność. Nie rozstawili posterunków, bez przeszkód więc przeszedłem dwieście kroków w głąb wąwozu.

Dotychczas przy świetle księżyca, wszystko szło pomyślnie, ale teraz miesiąc opuścił się nisko i miał zajść już za pół godziny. To nie mogło pokrzyżować naszych planów, o ile bowiem nie widzieliśmy w mroku, o tyle też byliśmy niewidoczni.

Przyłożyłem dłonie do ust i wydałem trzykrotny krzyk sępa. Wpadł do wąwozu i bez wątpienia dotarł do Winnetou.

Teraz trzeba było tylko czekać do rana. Rozstawiłem parę posterunków w wąwozie. Reszta oddziału obozowała u wejścia. Zachowywano zgodnie z moim nakazem całkowity spokój. Było cicho jak makiem zasiał. Tylko chwilami rozlegało się parskanie koni. — Czas płynął wolno. Księżyc dawno już znikł i gwiazdy straciły blask, po czym niebo na wschodzie zabarwiło się słabą poświatą jutrzenki.

— Panie, czy możemy się modlić? — zapytał kolorasi.

— Tak, ale bardzo cicho.

Żołnierze uklękli i zmówili poranną modlitwę. Tymczasem odblask zorzy wzmagał się, aż przybrał żółty odcień, niewidoczny zresztą w głębi wąwozu. Mimo to rozległ się stamtąd głośny, nawołujący do modlitwy okrzyk:

— Wstawaj do modlitwy, wstawaj do błogosławieństwa; modlitwa jest lepsza od snu!

Szybko udałem się do wąwozu i szedłem, póki można było iść, nie narażając się na odkrycie. Wczoraj jeszcze spostrzegłem, że wąwóz biegnie bez krzywizn, prosto jak drut, mogłem go przeto prawie do końca obejrzeć.

W pobliżu stał cały tabun koni. Za nimi leżeli nasi żołnierze. Nie byli związani i strzegło ich tylko dwudziestu uzbrojonych Uled Ayarów. Dalej rozciągała się swobodna przestrzeń, a za nią dopiero właściwy obóz. Modlili się na klęczkach; wszyscy, nie wyłączając jeńców. Wróciłem do swoich i wybrałem trzydziestu żołnierzy.

— Musicie zachować całkowite milczenie — rzekłem. — Nie wolno rozmawiać. Im mniej będzie hałasu, tym większe zaskoczenie wrogów i tym łatwiej przeprowadzimy swój plan. Jest tam dwudziestu strażników. Nie strzelajcie do nich, powalcie kolbami. Potem wracajcie czym prędzej!

Wbiegliśmy do wąwozu. Na przemian rozbrzmiewał głos kierownika modlitwy bądź chór wiernych. Przeszliśmy obok koni i wpadliśmy z podniesionymi kolbami na strażników, którzy ujrzawszy nas, zastygli w bezruchu z przerażenia. Cios padał za ciosem. Dwóch czy trzech wyrwało się i uciekło z krzykiem, pozostali leżeli powaleni.

— Wstawać, żołnierze! — zawołałem do jeńców. — Jesteście wolni! Spieszcie do koni. Na końcu wąwozu czekają wasi wybawcy.

Zerwali się z ziemi i pobiegli do koni. Każdy wskoczył na jednego, złapał drugiego albo nawet dwa za uzdę i po chwili deptania sobie po piętach wszyscy wydostali się z wąwozu, skąd odezwały się już głosy wściekłości i przestrachu. Nikt teraz nie myślał o modlitwie. Każdy chwytał za broń i rzucał się z krzykiem w pościg za zbiegami. Lecz ci już znajdowali się na równinie. Ponieważ nie byli uzbrojeni, cofnęli się, ustępując nam z drogi. Tymczasem ja ze swoim szwadronem wystąpiłem naprzód. Obsadziliśmy wieloma rzędami całą szerokość wąwozu i wystrzeliliśmy ślepe naboje. Nacierający Beduini zatrzymali się. Ogarnął ich lęk tak wielki, że nie wiedzieli, co począć. Wreszcie rozległ się głos szejka. Przywrócił jako tako porządek, po czym Uled Ayarzy zaczęli się cofać ku przedniemu wyjściu. Tam także oraz z obu stron u góry powitano ich strzałami. Jeden ryk wściekłości czy rozpaczy zapełnił wąwóz — Beduini skupili się pośrodku. Wówczas wysłałem do nich porucznika, którego odpowiednio pouczyłem, co ma robić. Wywiesił białą chustę jako znak parlamentariusza. Kazałem przyprowadzić do mnie szejka, któremu przyrzekałem nietykalność. Żądałem w zamian, aby zakazał Uled Ayarom aż do swego powrotu wszelkich wrogich wystąpień.

Widziałem, jak parlamentariusz znikł w tłumie Beduinów. Trwało to co najmniej dziesięć minut, po czym tłum się rozstąpił, przepuścił naszego oficera i towarzyszącego mu szejka. Gdy szejk zbliżył się do mnie, wyszedłem przez grzeczność na spotkanie, złożyłem obie ręce na piersiach, ukłoniłem się i rzekłem:

— Bądź pozdrowiony, o szejku Uled Ayarów. Wczoraj, gdy byłem jeszcze jeńcem, nie chciałeś ze mną rozmawiać. Dlatego opuściłem twój obóz, aby teraz jako człowiek wolny prosić o rozmowę.

Odwzajemnił ukłon i powiedział:

— Witam cię! Przyrzekłeś mi wolność, czy dotrzymasz słowa?

— Tak. Będziesz mógł odejść, kiedy zechcesz, albowiem niosę ci pokój.

— Ale żądasz w zamian podatków.

— Nie.

— Nie? — zapytał zdziwiony. — Czy nie przybyliście tutaj w celu odebrania nam resztek naszych trzód?

— Przyrzekliście Mohammedowi es Sadok–baszy pogłówne, lecz nie wywiązaliście się z przyrzeczenia. On ma prawo siłą zabrać to, czego wzbraniacie się uiścić dobrowolnie. Musicie zatem zapłacić. Lecz ja nie jestem waszym wrogiem, ale przyjacielem, i chcę ci powiedzieć, w jaki sposób potrafisz spłacić haracz, nie pozbywając się ani jednego zwierzęcia z waszych stad.

— Allach jest wielki i miłosierny! Jeśli twoje słowa są prawdziwe, jesteś naszym bratem i przyjacielem, a nie wrogiem.

— Mówiłem prawdę. Bądź łaskaw usiąść przy mnie! Usłyszysz wówczas, co mam na myśli.

— Twoja mowa wonna jest jak balsam. Ziemia, po której stąpasz, niech nie odmówi pokoju moim starym kościom.

Rozesłano dwa kobierce do modlitwy. Szejk usiadł na jednym, ja na drugim. Beduin nigdy się nie śpieszy; Grzeczność wymagała, abyśmy przeczekali pauzę, podczas której ja wpatrywałem się w wąwóz, szejk zaś nie spuszczał ze mnie oka, po czym przemówił:

— Pan Zastępów opowiadał mi wczoraj o tobie, effendi. Dowiedziałem się, co przeżyłeś i czego dokonałeś, ale nie rzekł mi, że jesteś wielkim czarodziejem.

— Jak to?

— Wszak leżałeś związany w namiocie. Strażnik był w nim dwanaście razy i badał twoje więzy. Jeszcze niedługo przed modlitwą poranną przekonał się o twojej obecności. Teraz zaś siedzisz tutaj i rozmawiasz ze mną jako człowiek wolny.

— Możesz z tego wnioskować, że lepiej byś uczynił, gdybyś już wczoraj zechciał mnie wysłuchać. Czy strzały naszych żołnierzy trafiły kogoś?

— Nie.

— To dobrze! Dałem rozkaz strzelania do góry, lecz jeśli nasza rozmowa do niczego nie doprowadzi, to wówczas nie pożałujemy kul! Ale wierzę święcie, że nie zmusisz nas do pomnażania wdów i sierot wśród kobiet i dzieci Uled Ayarów. W jakich jesteś stosunkach z Uled Ayunami?

— Poprzysięgliśmy krwawą zemstę tym psom.

— Ilu ludzi wam zabili?

— Trzynastu. Niech Allach pogrąży Uled Ayunów w piekle!

— Czy są od was bogatsi, czy biedniejsi?

— Bogatsi. Już dawniej mieli więcej od nas dobytku, cóż dopiero dzisiaj, gdy straciliśmy nasze stada, podczas gdy oni nie doznali żadnej szkody. Zwierzęta ich pasą się w Wadi Silliana, gdzie nigdy wody nie zabraknie.

— Jak się to stało, że zmówiłeś się z kolorasim Kalafem Ben Urik?

— Zaofiarował mi swoje usługi podczas okrążenia.

— Czy nie mógł się inaczej uratować?

— Jego żołnierze mieli lepszą broń, mogli się przebić i wielu z nas położyć trupem. Kolorasi wolał wejść ze mną w układy, a następnie się poddać. Miałem dostać wszystkich jego żołnierzy, a także tych, których obiecywał zwabić.

— Czego żądał w zamian?

— Wolności osobistej i osoby Pana Zastępów, od którego zamierzał wyłudzić wielki okup.

— Nie wyobrażasz sobie nawet, z jakim człowiekiem byłeś w zmowie!

— Teraz już wiem.

— Opowiem ci o nim później. Czas nagli, pragnąłbym również zawrzeć z tobą układ, lecz o wiele lepszy. Nie będzie w sprzeczności z twoimi przekonaniami, a jednocześnie osłoni cię przed zemstą baszy.

— Mówże! Słucham cię z największą uwagą, o effendi.

— Przede wszystkim pragnę ci powiedzieć, czego od ciebie żądam, a więc: wolności Pana Zastępów oraz wolności Anglika, którzy znajdują się jeszcze w waszym obozie. Następnie żądam wydania Kalafa Ben Urik, a wreszcie całkowitej kwoty podatku.

— Effendi, tego ostatniego muszę ci odmówić!

— Poczekaj tylko! Powiem zaraz, co od nas otrzymasz, jeśli się zgodzisz na nasze warunki. Otrzymasz mianowicie czternaście set wielbłądzic lub ich równowartość.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, potrząsnął głową i rzekł:

— : Czy dobrze słyszałem? Proszę cię, powtórz swoje słowa!

— Chętnie! Otrzymasz czternaście set wielbłądzic lub ich równowartość.

— Ale za co?

— Wyjaśnię ci to dokładniej. Czy znajduje się w waszym gronie niewiasta, zwana Elatheh?

— Tak. Jest to ulubienica całego plemienia. Lecz Allach zasmucił ją oczami jej dziecka, które urodziło się ślepe. Aby ubłagać Allacha o rozjaśnienie oczu dzieciny, udała się z pewnym czcigodnym starcem w pielgrzymkę do miejsc świętych. Wkrótce już zapewne wróci.

— Ona jest przy nas. Po drodze wpadła w ręce Uled Ayunów, którzy zabili starca, ją zaś zakopali w ziemię aż po szyję.

— O Allach, o Allach! Znów zabójstwo! Czternaste! Jakaż to męka i jaka śmierć! Tyle krwi woła o pomstę do nieba! Te psy nie oszczędziły nawet kobiety w pielgrzymce. Aż po szyję zakopana w ziemi? Wszak sępy się zlatują i wydziobują oczy!

— I tak by się stało, lecz Allach zmiłował się nad niewiastą. Sprowadził mnie i wykopałem ją z ziemi. Potem jednak uczyniłem coś, co cię przepełni radością: wziąłem do niewoli Farada el Aswad.

— Farada el Aswad? Któż jeszcze się tak nazywa? Nie mówisz chyba o szejku Uled Ayunów!?

— Dlaczego nie?

— Gdyż byłaby to dla mnie największa radość, a wszak nie ma już dla mnie radości na tym świecie. A także dlatego, że tego szejka niełatwo wziąć do niewoli.

— Co byś z nim uczynił — zapytałem — gdybyś otrzymał go ode mnie w prezencie?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Więc opowiedziałem pokrótce, jak pojmaliśmy szejka wraz z jego oddziałem nie wystrzeliwszy ani jednego naboju.

— Wydam go tobie, wraz z pozostałymi towarzyszami, ale tylko na określonych warunkach.

— Spełnię je, spełnię! O Allach, o Mohammed! Dostaniemy w ręce czternastu Uled Ayunów, a pomiędzy nimi szejka! Nasycimy się zemstą. Muszą nam oddać życie! Krew ich popłynie…

— Stój! — przerwałem jego płomienną mowę. — Zabijać ich nie wolno. Tego żądam bezwarunkowo!

— Jak to? — zapytał zaskoczony. — Mamy pomścić czternaście zbrodni, dostaniemy czternastu śmiertelnych wrogów, a nie wolno nam ich zabić? To nie może być! Nic podobnego jeszcze się nie zdarzyło! Wszyscy mieszkańcy tego kraju będą z nas drwić i uważać za ludzi pozbawionych honoru, których można bezkarnie mordować i znieważać.

— Bynajmniej nikt tego o was nie powie, gdyż wszyscy się dowiedzą, że okupem zastąpiliście krew swoich wrogów.

— Effendi, jest to warunek, na który nie możemy się zgodzić.

— Nie? W takim razie nie wydam wam Uled Ayunów.

— Zapominasz, że w tym wypadku inne twoje życzenia nie zostaną spełnione.

— Nie zapominam. Ty natomiast zapomniałeś, że znajdujecie się w naszej mocy. Trzystu żołnierzy stoi u wylotów tego wąwozu, z którego nie zdołacie się wydostać. Stu żołnierzy czuwa ponadto na górze. Nie traficie do nich kulami, oni zaś sprzątną was swymi, jednego za drugim, bez żadnego wysiłku. Jeden mój znak, a runie na was ze wszystkich stron mordercza salwa. Wówczas co zrobicie?

Szejk przez chwilę spoglądał ponuro w ziemię, po czym odpowiedział:

— Tak. Byliśmy głupcami. Nie trzeba było obozować w wąwozie.

— O tak, chcieliście nas tu zwabić, sami dostaliście się w pułapkę. Nie mam zresztą czasu spierać się z tobą. Daję ci pięć minut do namysłu. Zapamiętaj sobie: żądam Anglika i Pana Zastępów, a także naszej własność którą zrabowaliście. Następnie żądam wydania kolorasiego Kalafa Ben Urij W zamian wydam wam czternastu Uled Ayunów pod warunkiem, że zgodzicie się na okup krwi. Poza tym wypuszczę was z wąwozu i postaram się o dobre warunki pokoju z baszą. Jeszcze jedno. Ponieważ kobieta, która się nazywa Elatheh, jest ulubienicą waszego plemienia, przeto musi być wynagrodzona za doznaną krzywdę. Uled Ayuni zapłacą jej sto wielbłądzic.

— Effendi, wielka jest twa dobroć z rąk twoich spływa błogosławieństwo na każdego, kto ich dotknie! Piętnaście set wielbłądzic, to ilość niezwykła!

— Nie za wielka jednak, jak na Uled Ayunów, którzy są dosyć zamożni.

— Ale ta ofiara znacznie uszczupli ich dobytek!

— Tego właśnie pragnę. Oni stracą, wy zaś zyskacie.

— To prawda, ale właśnie dlatego wątpię, czy na to się zgodzą.

— Muszą, albowiem mają do wyboru okup lub śmierć. Nie ma zaś człowieka, który by nie oddał majątku za życie. Będę pośredniczył między nimi a wami i możesz być pewny, że nie zniżę ceny.

— Przyrzekną ci, ale nie wywiążą się z danego słowa.

— Jak możesz wątpić? Nie wypuścimy Uled Ayunów, dopóki nie otrzymamy całego okupu.

— Nie znasz tych ludzi! Będą zwlekać z zapłatą, aby zyskać na czasie. Tymczasem przygotują się do walki, po czym napadną na nas i odbiją jeńców.

— Nie. Muszą sobie uświadomić pewną przegraną. Wszak jeńcy będą w waszych rękach i raczej zabijecie ich, niż pozwolicie odbić.

— To prawda!

— A poza tym rozważ następującą okoliczność. Dopomogę wam ściągnąć okup, abyście byli w stanie zapłacić haracz. Nie wycofamy stąd wojska, dopóki Uled Ayuni nie zapłacą diveh. Do tego czasu będziemy przy was, jako wasi goście i w potrzebie staniemy obok was. We własnym interesie nie dopuścimy do zwłoki. Nie będą tedy mieli Uled Ayuni czasu przygotować się do napadu. A jeśli okażą się tak głupi, że zechcą zaatakować, my was wesprzemy zbrojną siłą. Zostaną wytępieni co do nogi albo co najmniej poniosą tak wielkie straty, że przez długie lata nie zdobędą się na żaden wrogi napad.

— Effendi, to, co mówisz, daje mi pewność, że chcesz z nami uczciwie postąpić i że wszystko tak się ułoży, jak przypuszczasz.

— Godzisz się więc na warunki?

— Tak, ja się godzę. Ale znasz nasze obyczaje i wiesz, że nie mogę sam decydować o tak ważnej sprawie. Muszę zwołać dżemmę, radę starszych. A ty? Czy masz prawo do tak ważnych rozstrzygnięć? Jesteś cudzoziemcem, ta sprawa zaś wymaga wyroku baszy.

— Pan Zastępów wyręcza baszę. Co on uczyni, to basza zatwierdzi. Ja zaś jestem przekonany, że Krüger–bej nie odmówi zatwierdzenia moich żądań i warunków.

— Effendi, szanuję twoje słowa, ale wolałbym je usłyszeć z ust Pana Zastępów.

— Dobrze, usłyszysz. Przyślij Krüger–beja do mnie, abym mógł się z nim porozumieć.

— Czy nie wolałbyś pójść ze mną? Mógłbyś z nim pomówić, a następnie wyłożyłbyś rzecz całą dżemmie. Jeśli ty to wszystko opowiesz najstarszym plemienia, wywrzesz o wiele większe wrażenie.

— Gwarantujesz moje bezpieczeństwo?

— Tak samo, jak ty mnie.

— Mogę ci ufać?

— Jak sobie samemu! Przysięgam na brodę proroka, na moich bliskich, na zbawienie moich przodków, że będziesz wolny i będziesz mógł przyjść i odejść, kiedy zechcesz.

— Wierzę ci i mam nadzieję, że twoi wojownicy uszanują przysięgę wodza.

— Naturalnie, że uszanują.

— Jednakże może się znaleźć jeden lub kilku, którzy nie będą jej respektować. Zapowiadam więc, jeśli padnie z waszej strony jeden strzał lub jeśli ktoś z was podniesie na mnie rękę, w mgnieniu oka dam znak do ataku. Każda nasza salwa uderzy w was trzema setkami kul.

— To się nie zdarzy! — zapewniał. Mimo zapewnienia, wydałem w jego obecności odpowiednie rozkazy. Na dźwięk strzału szwadron mój miał rozpocząć ogień. Byłem pewny, że natychmiast przyłączyłyby się i inne oddziały. Wreszcie udałem się za szejkiem.

W obozie Uled Ayarów powitano mnie złowrogimi spojrzeniami. Szejk stanął tak, aby go wszyscy widzieli i zawołał:

— Słuchajcie, mężowie, co wam powiem. Obcy effendi, zwany Kara ben Nemzi, przynosi nam bogactwo, przynosi nam honor. Ofiaruje dary, z których będziecie się cieszyć jak jagniątka, gdy znajdują świeże pastwisko.

Słowa te wywarły piorunujące wrażenie. Złagodniały nieprzyjazne spojrzenia. Nastał powszechny gwar, ni to pytających, ni to odpowiadających Ayarów, lecz oto jakiś głos wybił się ponad inne:

— Stój! Nie pozwalam! Ten giaur był naszym jeńcem i zbiegł z obozu. Kto śmie dawać mu wolność? Żądam, aby go natychmiast spętano!

Krzyczący przepchnął się przez tłum. Był to kolorasi, czyli Tomasz Melton. Twarz jego nabrzmiała, mieniła się kolorami tęczy, budziła odrazę. Był to skutek kopnięcia Emery'ego. Kolorasi zatrzymał się przed nami i rzekł, zwracając się do szejka:

— Mówiłem ci już, że ten człowiek do mnie należy!

— To, co mówisz, nie obchodzi mnie wcale! — odpowiedział szejk. — Effendi przyszedł tutaj pod moją pieczą.

Spodziewając się raptownego ciosu ze strony kolorasiego, trzymałem w pogotowiu srebrną strzelbę Winnetou, w taki jednak sposób, że nie zwracałem niczyjej uwagi.

— Pod twoją pieczą? — zapytał Melton wściekły. Jakże możesz brać w opiekę mego śmiertelnego wroga!?

— Przyniósł nam błogosławieństwo i szczęście. Zawrzemy pokój z baszą.

— Pokój? A gdzie ja jestem? Co się stanie z naszą umową?

— Nasza umowa nie ma już żadnego znaczenia. Widzisz, że jesteśmy ze wszystkich stron okrążeni. Mamy wybierać pomiędzy pokojem a śmiercią.

— Ach! A zatem, tchórze, błagacie o pokój!? I ten pies zamorski nie będzie mi wydany?

— Nie. Ja zagwarantowałem mil bezpieczeństwo.

— Broń go, jeśli potrafisz!

Błyskawicznym ruchem wyciągną nóż, który zaświecił tuż koło mojej piersi, lecz, zanim do niej dotarł, uderzyłem nędznika kolbą pod brodę tak, że aż głowa odskoczyła do tyłu, a on zakreśliwszy ciałem ogromny łuk, zwalił się na ziemię.

— Effendi, dzięki za to uderzenie! — rzekł szejk. — Uniknąłeś śmiertelnego ciosu, który godząc w ciebie splamiłby moje usta krzywoprzysięstwem i siwą głowę obarczył wieczną nie, zmytą hańbą. Czy żyje?

Z tym pytaniem zwrócił się do kilka Uled Ayarów, którzy nachylili się nad Meltonem.

— Nie porusza się, ale prawdopodobnie żyje — brzmiała odpowiedź.

— Związcie mu ręce i nogi, aby po przebudzeniu nie ważył się na żadne wybryki! Ty zaś, bądź łaskaw wstąpić do mego namiotu, gdzie znajdziesz Pana Zastępów.

W namiocie ujrzałem dowódcę przywiązanego do pala.

— Pan tu?! — zawołał wielce ucieszony. — Sądziłem, że tak samo, jak ja, jest pan spętany.

— Jak pan widzi, jestem wolny i co więcej, zaraz uwolnię pana.

— Bogu dzięki! A zatem nie trzeba pana uważać za schwytanego do niewoli i spętanego?

— A jakże! Byłem tak samo, jak pan schwytany, lecz zdołałem się wymknąć.

Opowiedziałem w krótkich słowach o sytuacji, uprzednio jednak uwolniwszy go z więzów. Słuchał ze skupu uwagą, która się wzmogła, gdy zacząłem opowiadać o propozycjach uczynionych szejkowi. Ledwie skończyłem, krzyknął:

— Maszallah! Jakiż to rozumny człowiek z pana!

— Jak pan to rozumie? Czy pan się godzi czy nie?

— Tak. Oczywiście, że tak!

— To mnie cieszy. Byłem przekonany, że działam w duchu pańskich życzeń. Nie żąda pan zatem od Uled Ayarów nic ponadto?

— Nie, nie.

— Dobrze, więc wyjdźmy z namiotu. Tam zebrali się najstarsi plemienia i czekają na mnie. A może pan zechce do nich przemówić?

— Owszem. Wolałbym ze względu na moją rangę, albowiem jestem pełnomocnikiem baszy.

— Przyznaję panu słuszność. Pan jesteś zastępcą baszy z Tunisu, a przeto wywrze pan głębsze wrażenie. Jeśli pan coś opuści, przypomnę panu.

Wyszliśmy z namiotu, przed którym najstarsi zasiedli kołem. Nie okazali śladu zdziwienia, że odwiązałem Pana Zastępów, i przepuścili Krüger–beja do środka. Kolorasiego, vel Meltona, oczywiście nie było wśród nas.

Uled Ayarzy w najwyższym napięciu oczekiwali rezultatu zebrania, od którego zależała wojna lub pokój, śmierć lub życie. Skupili się w pobliżu, nie przekraczając jednak przepisowego dystansu. Dżemma u Beduinów cieszy się najwyższym poważaniem i niejeden

Europejczyk mógłby się nauczyć od tych prostych ludzi szacunku, jakim należy otaczać i czcić sędziwy wiek.

Oracja Pana Zastępów była majstersztykiem jak zawsze, kiedy nie posługiwał się mową macierzystą. Powtórzył wszystko, co przyrzekłem szejkowi, i chciał się wycofać z dżemmy, aby pozwolić Ayarom na swobodne obrady, lecz teraz podniósł się szejk i rzekł:

— Twoje słowa, o panie, były jak róże, których woń odmładza serca! Pragniesz odejść, abyśmy się mogli naradzać? Możesz pozostać! Po co radzić, kiedy to ani nie polepszy, ani nie pogorszy postawionych przez ciebie warunków. Godzę się z każdym twoim słowem i nawołuję do zgody swoich ludzi. Kto się sprzeciwia, niech wystąpi!

Nikt się nie poruszył.

— Kto zaś godzi się na propozycją Pana Zastępów, niech wstanie!

Wszyscy się podnieśli.

Wówczas szejk stanął na wysokim kamieniu i widoczny dla wszystkich Uled Ayarów, oznajmił donośnym głosem, do jakiej zgody doszło i jak ma być przypieczętowana. Odpowiedzią na jego słowa była głośna radość. Szejk podszedł do mnie, uścisnął mi rękę i oświadczył, że tylko mnie zawdzięcza tak pomyślne zakończenie niebezpiecznego sporu. Wówczas wszyscy pozostali członkowie dżemmy poszli za jego przykładem, a i nimi również inni Beduini. Musiałem ściskać setki rąk. Twarze, dotychczas wrogie, spoglądały na mnie z życzliwością.

Przede wszystkim trzeba było uwolnić Emery'ego. Poczciwy Anglik usłyszał zgiełk i zrozumiał, że coś się ważnego zdarzyło. Nigdy jednak nie przypuszczałby, że pokój został zawarty i czeka go już wolność. Tym większą czuł radość i podziw, gdy wszedłem do namiotu i rozciąłem mu więzy.

Był to pierwszy skutek pokoju. Drugim było odzyskanie broni oraz innych zabranych nam rzeczy.

Następnie kazałem się zaprowadzić do kolorasiego. Leżał w namiocie skrępowany w ten sam sposób, co my poprzednio. Kiedy wchodziłem, miał otwarte oczy. Lecz przymknął je natychmiast i aby uniknąć mego szyderstwa, symulował omdlenie. Przekonawszy się, że jest mocno związany, odszedłem.

Umówiliśmy się, że Uled Ayarzy opuszczą wąwóz i rozbiją obóz na równinie. Należało wymarsz poprzedzić formalnym zawarciem pokoju, a więc odśpiewaniem świętej Fathhy oraz innych modłów. Przy tej ceremonii wystarczała obecność Krüger–beja i Emery'ego. Ja natomiast wolałem uniknąć przynudnawej uroczystości i udałem się do naszych żołnierzy, aby powiadomić ich, co zaszło.

Konno przejechałem przez wąwóz, pośród gromady niedawnych wrogów, ku północnemu wyjściu, gdzie miał postój pierwszy szwadron. Żołnierze zdziwili się bardzo, widząc, że nadjeżdżam wprost od strony wroga. Oczywiście, z radością przyjęli wiadomość o pokoju. Nie wątpili wprawdzie o naszym zwycięstwie, ale wiedzieli, że niepodobieństwem było wywalczyć go bez ofiar.

Jak już rzekłem, spodziewałem się zastać tutaj Winnetou. Nie omyliłem się. Jeszcze zanim zdążyłem otworzyć usta, wyszedł na spotkanie i zapytał:

— Mój brat zawarł pokój z Uled Ayarami?

— Tak. Poszło nam tak wyśmienicie, jak tylko można sobie wyobrazić. Zwycięstwo nie kosztowało ani kropli krwi, co zawdzięczam tylko tobie, najlepszemu z przyjaciół i braci. Narażałeś się bardzo, zastępując mnie w niewoli.

— Winnetou nie zasłużył na podziękowanie, albowiem ty będąc na moim miejscu, zrobiłbyś to samo. Nadto nie wystawiałem się na niebezpieczeństwo, bo związałeś mnie luźno i mogłem w każdej chwili uciec. Co się stało ze zbrodniarzem i zdrajcą, Tomaszem Meltonem?

— Leży związany w namiocie. Uled Ayarzy opuszczą wąwóz i rozłożą się obozem na równinie. Będziemy obozowali w pobliżu, skupiwszy uprzednio oddziały w jednym miejscu.

Kolorasi szwadronu wysłał gońca i już po upływie pół godziny cała nasza jazda zebrała się u północnego wylotu wąwozu. Wkrótce potem szwadron Meltona odzyskał swoją broń i konie.

Była czwarta według Arabów, dziesiąta przed południem według naszego czasu, kiedy ceremonie zostały zakończone. Uled Ayarzy z szejkiem, Krüger–bejem i Emery'm na czele wyjechali z wąwozu i zostali przez oddział naszej jazdy przywitani trzykrotną salwą. Odpowiedzieli wystrzałami, nieregularnie, każdy po swojemu, jak to jest w zwyczaju. Emery zaopiekował się kolorasim, vel Meltonem, który nie mogąc nadal udawać omdlałego, przybrał teraz odmienną maskę. Wyglądał straszliwie. Do skutków kopnięcia Emery'ego dołączyły się następstwa mego uderzenia, które wprawdzie nie rozbiło mu szczęki, ale wybiło kilka zębów. Dolna szczęka była jeszcze bardziej napuchnięta niż poprzednio górna. Tak samo język musiał ucierpieć, gdyż kolorasi wypowiadał się z trudem. Przyprowadzono go do mnie i wydano formalnie, zgodnie z warunkami pokoju. Szejk wypowiedział przy tym kilka krótkich zdań. Skoro Melton je usłyszał, wybuchnął gniewnie:

— Co? Wydajesz mnie temu człowiekowi?

— Muszę — odparł Beduin. — Był to warunek pokoju.

— Wszak przyrzekłeś mi wolność! Poddałem się pod warunkiem, że zwrócisz mi wolność osobistą. A zatem tak dotrzymujesz słowa? Jesteś bezwstydnym kłamcą, zdrajcą bez czci, który sojuszników wynagradza niewdzięcznością.

Właściwie miał słuszność. Zdawało się, że sam szejk mu ją przyznaje, gdyż obelgę puścił mimo uszu. Później dowiedziałem się, niestety, że miał ku temu inne powody. Zresztą nawet gdyby chciał, nie mógłby odpowiedzieć Meltonowi, ponieważ Krüger–bej zagłuszył kolorasiego, krzycząc wściekle:

— Ty śmiesz tak mówić, łotrze? Śmiesz mówić o kłamstwie bezwstydnym i zdradzie? Kto jest kłamcą, kto zdrajcą?'. Zarzucasz szejkowi, że jako sojusznik niesłusznie z tobą postępuje? k kim ja byłem dla ciebie? Może sojusznikiem? Byłem twoim opiekunem, twoim obrońcą, twoim przyjacielem. Obchodziłem się z tobą niczym ojciec. I jakże mi odpłaciłeś? Zwabiłeś z Tunisu aż tutaj, aby mnie pojmano do niewoli, co się istotnie zdarzyło.

— To kłamstwo! — bronił się kolorasi bezczelnie.

— Psie! Na domiar kłamstwo mi zarzucasz!

— Nie tobie, lecz temu, kto ci podszepnął te słowa.

— Masz na myśli mego przyjaciela, Kara ben Nemzi? Nazywasz go kłamcą? Słuchaj ty synu, wnuku i prawnuku przodków, którzy pospołu tkwią w piekle, tak samo jak ty się tam będziesz smażył, tej bezczelności po prostu pojąć nie mogę! Twoja dusza pławi się w kłamstwie. Jakże mógł Allach dopuścić, abym bronił takiego człowieka? Każę cię powiesić! Precz z tym Judaszem!

— Stój! — zawołałem. — Skoro go uważasz za swego jeńca, muszę ci powiedzieć, że mam do niego wcześniejsze prawa.

— Nie większe jednak niż ja.

— Być może, ale muszę jeszcze załatwić z nim ważne porachunki!

— Nie przeszkadzam.

— Dobrze! W takim razie proszę cię abyś go kazał związać i strzec, jak oka w głowie.

— Nie obawiaj się! Ten pies ni ucieknie. Możesz na mnie polegać Związcie go mocno i przymocujcie do pala!

Stary Sallam poszedł wykonać rozkaz. Wówczas odezwał się szejk Mubir Ben Safa do Krüger–beja:

— Panie, słusznie nazwałeś go zdrajcą. Tym właśnie mianem określiłem go poprzednio.

— Czy i ty miałeś powody? A może również z tobą postąpił nieuczciwie?

— Ja nie dałem się oszukać, aczkolwiek nie przeczę, że mogłoby to stać w przyszłości. Ciebie zdradził, wydając w moje ręce. Byłeś moim wrogiem, przyjechałeś, aby nas ujarzmić, jakże więc mogłem odrzucić niecną propozycję? Lecz wielkie korzyści nie zdołały mi

przysłonić prawdy, że kolorasi to zdrajca godzien jest najwyższej pogardy, Przecież z kimś innym obszedł się o wiele gorzej niż z tobą, o panie.

— Z kim?

— Ze swym towarzyszem.

Teraz wtrąciłem pytanie:

— O niego właśnie chciałem spytać. Znam go i obawiam się, że nieszczęsna podróż do Tunisu fatalnie się na nim odbiła. Gdzie się właściwie znajduje?

— Tam, w wąwozie.

— W wąwozie? O niebiosa! Nie ma tam żywej duszy! A więc nie żyje?

— Nie żyje.

— Zamordowany?!

— Przypuszczam.

— Przez kolorasiego?

— Naturalnie!

— Jak się nazywał?

— Właściwego nazwiska nie znam. Kolorasi nazywał go swym przyjacielem. Zawsze się do niego zwracał „mój przyjacielu".

— Ale wy musieliście go jakoś nazywać!

— Owszem. Jak ci wiadomo, panuje u nas zwyczaj nadawania obcym, których nie znamy albo których nazwiska są trudne do wymówienia, miana, określającego ich cechę wyróżniającą. Tego zatem młodego cudzoziemca nazywaliśmy Abu tnasz Ssabi[*].

— Z jakiej racji? Czyż miał dwanaście palców u nóg, co się czasem zdarza?

— Tak. Jak wam wiadomo, okrążyliśmy żołnierzy w ruinach, niedaleko źródła, biorąc w niewolę wszystkich, oprócz kolorasiego i jego przyjaciela. Otóż, gdy ten młody człowiek udał się do źródła, aby się napić, a następnie umyć twarz, ręce i nogi, jeden z naszych ludzi spostrzegł, że ma po sześć palców u każdej nogi.

— Jest to rzecz ogromnej wagi! Opowiem wam teraz, o czym mój przyjaciel, Pan Zastępów, jeszcze nie wie, że przybyłem tutaj w tym jedynie celu, aby uratować Ojca Dwunastu Palców.

— Jak to? — zapytał Krüger–bej. — Wiedziałeś, że mają go zamordować?

— Przypuszczałem. Był to zbrodniczy zamysł, szczególnie wyrafinowany i osobliwy. Posłuchajcie!

Wyłożyłem im całą rzecz. Skoro skończyłem, krzyknął Pan Zastępów:

— Co za przestępstwo, jakie wyrachowanie, jakaż podłość! Gdybyś to wcześniej opowiedział, pośpieszylibyśmy i przybyli tutaj na czas, aby zapobiec zabójstwu Ojca Dwunastu Palców!

— Spieszyliśmy co sił i nie moglibyśmy wcześniej przyjechać. A nawet gdybyśmy przybyli o dzień wcześniej, to jeszcze nie zapobiegłoby śmierci biednego Smalla Huntera.

— Twierdzę jednakże, że powinieneś był mnie poinformować.

— Ależ nie! Skoro bym cię wtajemniczył w tę sprawę, musiałbym powiedzieć, że kolorasi jest przestępcą, zbiegłym zbrodniarzem. Prawda?

— Rozumie się.

— A on był twoim ulubieńcem. Czy przypominasz sobie naszą rozmowę w Bardo? Napomknąłem coś niecoś, lecz pierwsze moje nieprzychylne słowo rozgniewało cię ogromnie. Przerwałeś mi i z miejsca skłoniłeś do milczenia.

— A jednak nie trzeba było milczeć! Jesteś moim przyjacielem. Wysłuchałbym cię w końcu.

[*] Ojciec Dwunastu Palców u Nóg

— O nie, jeśli już błahą wzmianką byłeś tak bardzo rozjątrzony! Bo nawet gdybyś mnie wysłuchał, nie uwierzyłbyś i nie stracił zaufania do kolorasiego. Wręcz przeciwnie, twierdzę, że usiłowałbyś udaremnić moje plany.

Zwiesił głowę, milczał przez chwilę, po czym rzekł:

— Sprawiedliwość każe mi przyznać, że mógłbym ci jedynie zaszkodzić. Przyznaję nawet, że wziąłbym nędznika w obronę.

— A zatem nie obarczasz mego sumienia?

— Nie! Nie pominąłeś nic, co mogłoby zapobiec zbrodni.

— Dziękuję ci! A teraz, szejku, opowiedz, co wiesz o śmierci Ojca Dwunastu Palców. Czy kolorasi źle się z nim obchodził?

— Przeciwnie, otaczał go przyjaźnią. Oczywiście, była to przyjaźń z wyrachowania, która miała uśpić czujność nieszczęśliwego. W dniu przed waszym przybyciem, a było to po modlitwie wieczornej, przechadzali się na odludnym odcinku między jeńcami a końmi. Wkrótce usłyszeliśmy — wystrzał, niegłośny, słaby, jak strzał z tych małych pistoletów, które się obracają i raz nabite, strzelają sześcioma kulami. Zaraz potem kolorasi wrócił i doniósł nam, że przyjaciel jego się zastrzelił.

— Czy podał pobudki samobójstwa?

— Tak. Powiedział, że desperat zabił się z melancholii, z przygnębienia, ze wstrętu do życia.

— Co wtedy zrobiliście?

— Kazałem zapalić pochodnię z włókna palmowego, a potem udaliśmy się do samobójcy.

— Czy już nie żył? Czy się osobiście przekonałeś?

— Nie, albowiem według naszej wiary, kto dotyka trupa, staje się nieczysty. Gdyby nieboszczyk był kimś z nas, byłaby inna sprawa. Ale skoro był to obcy, więc niby dlaczego mieliśmy kalać ręce?

— Hm. Pogrzebano go?

— Tak. Pogrzebał go kolorasi.

— Nikt mu nie pomagał?

— Nikt, a to z obawy przed skalaniem. Zresztą, nie prosił nikogo o pomoc.

— Kiedy to się stało?

— Wczoraj. Gdy was przyprowadzono do mnie, przybiegł również kolorasi. Przerwał pracę, aby was zobaczyć i dokończył ją, skoro was odprowadzono do namiotów.

— Czy widziałeś ranę?

— Tak. Śmiercionośny metal przenikł do serca. Czy uważasz te szczegóły za ważne, że się tak wypytujesz?

— Za nader ważne. Muszę natychmiast zbadać mogiłę i proszę, abyś mi towarzyszył.

Był gotów spełnić moje życzenie, przedtem jednak nakazał rozbić obóz. Towarzyszyli nam również Krüger–bej, Winnetou i Emery. Po drodze zagadnąłem szejka:

— Z twoich słów wynikało, że nie wierzysz w samobójstwo Ojca Dwunastu Palców?

— W każdym razie mam poważne wątpliwości, wydaje mi się bowiem wprost niemożliwe, aby obcy zabił się, straciwszy chęć do życia. A poza tym kolorasi jest gotów na wszystko, po prostu strzegł swego przyjaciela, niczym jeńca…

Rozmawiając tak, przeszliśmy większą część wąwozu. Po chwili szejk doprowadził nas do mogiły. Nie była w mogiła we właściwym tego słowa znaczeniu. Ciało nie spoczęło w dole, zostało tylko przywalone kupą kamieni. Melton ułatwił sobie pracę: Grobowiec nie był wysoki — usunęliśmy kamienie w kilka minut, odsłaniając nieboszczyka. Widok jego wywarł wrażenie, jakiego się spodziewałem!

— O nieba! — zawołał Emery. — Co za podobieństwo!

— Uff! — krzyknął Winnetou, nie dodając ani słowa.

— Maszallah, cud Boży! — wyrwało się Panu Zastępów. Wszak to jest człowiek, z którym przybyłem z Tunisu!

— Znajdujesz, że podobieństwo jest wielkie?

— Tak wielkie, że przechodzi wszelkie wyobrażenie.

— To właśnie było powodem zbrodni. Przeszukajmy dokładnie odzież.

Widziałem już wiele trupów, ten jednak sprawiał szczególne wrażenie i to nie przez okoliczność śmierci, a wskutek niezwykłego wyrazu twarzy. Uśmiechał się z taką pogodą, z taką rzec można, radością, jak gdyby spał tylko i miał błogi sen.

W kieszeniach ubrania nic nie znalazłem. Naraz zauważyłem, że lewa ręka jest przewiązana.

— Cóż to jest? — zapytałem szejka. — Może wiesz, dlaczego ma lewą rękę przewiązaną?

— Naturalnie, że wiem. Został zraniony w rękę. Okrążyliśmy waszych jeńców tak szybko i tak doskonale, a kolorasi tak mało myślał o obronie, że z naszej strony padł tylko jeden strzał. I ten jeden trafił cudzoziemca, który nie był naszym wrogiem, tylko został tutaj zwabiony. Kula urwała mu kostkę kciuka i trzeba było następnie odciąć ją w całości.

— Ach! Muszę zobaczyć! Zdjąłem opatrunek, który stanowił kawał chusty do nakrycia głowy, i przekonałem się, że kciuk jest bez końca. Wówczas podszedł Winnetou, obejrzał ranę i rzekł:

— Niech mój brat odsłoni serce! Usłuchałem. Kula przebiła klatkę piersiową akurat w tym miejscu, gdzie uderza serce. Sprawna i dobra robota! Rana była tak czysta, jak gdyby ją przemyto. Podobnie na odzieży nie widać było ani jednej plamki.

Winnetou przyłożył palec do rany, nacisnął parę razy i rzekł:

— Czy mój brat pozwoli mi zbadać kulę i jej bieg?

— Naturalnie!

Podszedł bliżej do trupa. Wyciągnął nóż i wziął się do tej smutnej roboty, przed którą się wprawdzie wzdrygałem, lecz której bym nie omieszkał sam wykonać. Wiedziałem, o co mu chodzi. Miałem te same myśli. Zachodził tu rzekomo wypadek samobójstwa. Ponieważ samobójstwo mogło jednak być wykonane tylko prawą ręką, gdyż lewa była obezwładniona, przeto znając bieg kuli, moglibyśmy wiedzieć, czy istotnie wystrzał padł z prawej ręki.

Winnetou był doświadczonym i niezwykle zręcznym chirurgiem. Operował swoim długim, mocnym bow (nożem) tak delikatnie, tak przezornie, że nie wykonałby tego lepiej lekarz z długoletnią praktyką przy pomocy najprecyzyjniejszych instrumentów. Ale też postępował bardzo powoli i dopiero po upływie pół godziny doszukaliśmy się kuli. Tkwiła z tyłu, przy prawym ostatnim żebrze. Ten nieco na dół biegnący strzał nie mógł zatem być oddany z prawej ręki. Apacz podniósł się, wyciągnął dłoń, na której leżała kula, i rzekł tylko jedno słowo:

— Mord.

— Tak jest — potwierdził Emery. — Tu nie zachodzi wypadek samobójstwa. Taki kierunek kuli mógł ty nadany wyłącznie z lewej ręki, a tą Small Hunter nie władał.

A więc Melton jest zabójcą! — rzekłem. Pomyślałem to sobie od razu i nie tylko ja, lecz również wy wszyscy. Teraz oczekuje nas smutna praca. Wzdrygam się przed nią, ale nie możemy jej zaniechać. Musimy bezwarunkowo ustalić tożsamość zabitego. Musimy go rozzuć i obejrzeć stopy.

Istotnie, okazało się, że nieboszczyk miał u każdej nogi po sześć palców, mianowicie, zamiast jednego, dwa małe o normalnym kształcie, tylko że jednemu brak było paznokcia. Poza tym nie znaleźliśmy na ciele żadnych znaków szczególnych.

Spełniliśmy więc obowiązek ze strony, że tak powiem, kryminalnej. Teraz należało pogrzebać zamordowanej co też uczyniliśmy z większą troskliwością niż morderca.

Szejk nalegał, abyśmy się oczyścili. Oczyszczenie odbyło się w ten sposób, że umyliśmy twarz i ręce piaskiem, szejk odmówił krótką modlitwę.

Następnie rzekł:

— A teraz jesteście znowu czyści i nikt nie będzie się brzydził waszym dotknięciem. Chodźmy do obozu!

— Poczekaj! — prosiłem; — Miejsce i grób należy do terenów Uled Ayarów, których jesteś naczelnym szejkiem. Czy możesz mi przyrzec, że to miejsce będzie przez was uszanowane?’

— Przysięgam na Allacha i jego proroka. Lecz dlaczego kłopoczesz się o grób obcego ci człowieka?

— Bardzo możliwe, że trzeba będzie go jeszcze odkopać. Zapamiętaliście sobie to wszystko, coście tutaj widzieli?

— Tak.

— Musimy sporządzić o tym wypadku pismo, które w Ameryce będzie miało moc prawną. Ty jako szejk plemienia, władającego tym terenem, musisz je poświadczyć, my zaś podpiszemy jako świadkowie. Jeśli nadto Pan Zastępów położy swój podpis, wówczas będzie zrobione wszystko, co w tych okolicznościach jest możliwe. Lecz teraz proszę cię, Mubir Ben Safa, o odpowiedź na bardzo ważne pytanie: gdzie się podziały rzeczy tego zabitego?

— Koń jego znajduje się w naszym tabunie, broń zabrał kolorasi. Zresztą, kazałem mu ją odebrać. Mogę wam ją pokazać, a nawet darować.

— A reszta rzeczy? Nieboszczyk posiadał jeszcze wiele innych przedmiotów, a więc pierścionki, zegarek, rozmaite przybory potrzebne w podróży, a przede wszystkim dowody osobiste. Tego nie widzę przy trupie. Zapewne zabrał je kolorasi?

— Nic o tym nie wiem.

— Nie? — zapytałem zdumiony. — Wszak powinieneś wiedzieć. Czy odebrałeś od kolorasiego wszystko, co miał przy sobie?

— Zabrałem jego broń, albowiem jest uwięziony i nie powinien jej posiadać, ale nie zaglądałem Kalafowi do kieszeni. Zabroniłem nawet zabrać mu cokolwiek.

— Dlaczego?

— Na mocy umowy, zawartej między nami przy kapitulacji, musiałem kolorasiemu przyrzec, że uszanuję jego własność.

— A zatem ma jeszcze przy sobie rzeczy nieboszczyka?

— Na pewno, gdyż jestem przekonany, że nikt z moich wojowników nie śmiał go ograbić.

— Dobrze, zobaczymy. Chodźmy więc!

— Tak, chodźmy! Co zrobicie z kolorasim i jego własnością, o to mnie głowa nie boli, ja muszę się tylko wywiązać z przyrzeczenia, ale tego wcale nie przyrzekałem, abym go miał wobec was bronić. Od czasu jak go wydałem, przestał mnie obchodzić i wolę z nim nie rozmawiać ani zajmować się jego osobą.

Istotnie, kiedy wróciliśmy do obozu, szejk odłączył się od nas pod jakimś pozorem. Zrozumieliśmy, że nie ma chęci pokazać się człowiekowi, który był jego sojusznikiem w walce z nami. Krüger–bej musiał załatwić pewne sprawy wojskowe, więc tylko we trzech udaliśmy się do namiotu Meltona. Zastaliśmy go mocno skrępowanego i przywiązanego do pala pod strażą dwóch żołnierzy. Kiedy nadeszliśmy, szybko odwrócił głowę na znak, że nie chce nas widzieć.

— Mister Melton — rzekłem — przyszliśmy zadać panu kilka pytań. Sądzę, że rozsądek nakaże panu odpowiedzieć.

Milczał, nie odwróciwszy głowy.

— Pierwsze pytanie — rzekłem — kim jest cudzoziemiec, który przyjechał z panem z Tunisu?

Nie odezwał się ani słowem. Zwróciłem się więc do jednego z żołnierzy:

— Przyprowadź bastonadżiego! Może przywróci temu osobnikowi utraconą mowę.

Melton obrócił się szybko i krzyknął:

— Nie waż się mnie uderzyć! Nie jestem tak bezsilny, jak myślisz. Dziś ja pod wozem, jutro ty. Pamiętaj!

— Niech się pan nie ośmiesza! Czy widział pan już kiedyś tego człowieka, który stoi przy mnie?

W odpowiedzi zaklął siarczyście.

— W każdym razie słyszał pan zapewne o Winnetou, wodzu Apaczów?

Powtórzył przekleństwo.

— To, że obaj oglądamy pana, może panu przypomni niewyrównany rachunek w Stanach jednoczonych. Ale o tym później! Tymczasem radzę panu udzielić mi odpowiedzi. Widzi, master, oto już nadchodzi bastonadżi z pomocnikami. Daję panu słowo, że najmniejsza zwłoka będzie pana kosztować dziesięć cięgów po gołej pięcie. A więc, kim jest cudzoziemiec, o którego pytałem?

Przeszył mnie takim spojrzeniem, jak gdyby usiłował odgadnąć i przejrzeć moje myśli, po chwili zaś odpowiedział:

— Dlaczego pan pyta o niego?

— Ponieważ się nim interesuję.

— Chce mnie pan złapać, tak, złapać na wędkę? Znamy się na tym. Kto wie, jakie plany snują się w pańskiej głowie.

— Chętnie panu powiem. Mam niezłomny zamiar kazać pana wysmagać, jeśli natychmiast nie uzyskam odpowiedzi. No, kim jest cudzoziemiec?

Bastonadżi czekał tylko na moje skinienie. Melton, świadomy tego, co go czeka, zdecydował się odezwać:

— To mój syn.

— Pański syn? Ach! Zadziwiające! Czyż nie przedstawiał go pan Uled Ayarom jako przyjaciela?

— Czy syn nie jest przyjacielem?

— Hm. To oczywiście zależy od pana, jak przedstawiać syna. Grunt, że znikł nagle. Gdzie się teraz znajduje?

— Niech pan nie udaje! Wie pan doskonale, że umarł, Beduini poinformowali już pana, czyż nie tak?

— Ale dlaczego syn pański targną się na własne życie?

— Melancholia, znudzenie.

— I po to, aby popełnić samobójstwo, przybył z Ameryki do Tunisu? Chciał panu sprawić przyjemność, pozwalając asystować przy swej śmierci. Wynika z tego, że darzył pana niezwykle ogromną miłością.

— Niech pan nie szydzi! Czy ja odpowiadam za głupie pomysły melancholików?

— Zdaje się, że niewiele pana obchodzi śmierć syna. Nie znać przynajmniej po panu zbytniego zmartwienia. Ale mimo to, współczuję panu. Słyszałem, że zastrzelił się w pańskiej obecności?

— Tak. Ze swego rewolweru.

— A więc nie z pańskiego?

— Co za głupie żarty! Nie posiadam rewolweru. Kolorasi tuniski nie nosi przy sobie rewolweru.

— A jakże mógł pański syn strzelać z rewolweru, skoro był zraniony i nie władał ręką?

— Ponieważ jest pan tak przebiegły, że nie ma rzeczy, o której by pan nie wiedział, powinien pan także wiedzieć, że tylko lewą rękę miał unieruchomioną.

— Ach tak! Przypuszczam, że pan dziedziczy po zmarłym?

Obejrzał mnie znów przenikliwie, pragnął bowiem odgadnąć, do czego zmierzam. Wreszcie, na powtórne zapytanie, odezwał się:

— Oczywiście, o ile pan myśli o tym, co syn mój miał przy sobie.

— To mnie cieszy niezmiernie, gdyż chętnie obejrzę dziedzictwo. Ponieważ nie potrafi pan sięgnąć do kieszeni, więc oszczędzę panu wysiłku.

— Sięgaj pan!

Powiedział to wściekłym głosem, a jednak nietrudno było wychwycić w nim nutę szyderstwa i złośliwości. Wypróżniłem Meltonowi kieszenie i przeszukałem starannie odzież, ale niestety, znalazłem tylko przedmioty, które, jak się okazało, należały do kolorasiego. Nie było tu nic z własności Smalla Huntera.

— Co teraz pan powie, wielce szanowny panie? — kpił. — Gdyby się pan teraz widział w lusterku… Mógłbym śmiało przysiąc, że jest sir najdowcipniejszym człowiekiem na świecie. A ja, głupi osioł, uważałem pana za i największego durnia. Widzi pan, jak można się mylić!

Spostrzegł moje rozczarowanie. Opanowałem się jednak i rzekłem spokojnie:

— To jest wszystko, co pan i pański syn posiadaliście?

— Tak — kiwnął z nie ukrywanym szyderstwem.

— Ubolewam nad panem. Tuniski kolorasi nie jest wszak świętym tureckim, a co się tyczy pańskiego syna, to widać, że nie mógł się pochwalić oszczędnościami.

— Z czego miał oszczędzać?

— Z majątku Smalla Huntera.

— Do wszystkich diabłów! Small Hunter! Co pan wie o Smallu Hunterze

— Wiem, że jest miłym młodzieńcem, który dla przyjemności zwiedza Wschód.

— Wschód?

— Tak. Wiem również, że nie podróżuje sam, lecz w towarzystwie nie mniej ciekawego młodzieńca. Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywa się ten drugi Jonatan Melton.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Ja sam chwilami nie pojmuję. Myślałem, że obaj, Small Hunter i Jonatan Melton przebywają w Egipcie, a teraz ku wielkiemu zdumieniu dowiaduję się, że Jonatan Melton był tutaj i zastrzelił się na pańskich oczach.

Prześwidrował mnie spojrzeniem po raz trzeci. Zrozumiał wreszcie, że moja obecność tutaj nie jest dziełem przypadku i że wiem więcej o jego zamiarach, niż by to pozornie mogło się wydawać.

— Czy chciałby mi pan to wyjaśnić? — spytałem.

— Niech pan się sam domyśli! — warknął.

— Dobrze, usłucham pańskiej rady. Po namyśle dochodzę do wniosku, co najmniej na pozór dziwacznego wniosku, iż pomylił się pan co do osoby własnego syna.

— Ojciec miałby się pomylić?

— A dlaczego by nie? Przypuśćmy na przykład, że zachodzi wypadek ogromnego podobieństwa. Czy jest to w ogóle nieprawdopodobne?

Wybuchnął:

— Przeklęte niech będzie pańskie przeciąganie, rozciąganie i wyciąganie! Dokąd pan zmierza? Szykuje pan dla mnie jakiś cios! Dlaczego pan zwleka? Prędzej, niech pan strzela!

— Cios? Myli się pan! Mówię to, ponieważ panu współczuję. Najlepszą wszak pociechą będzie dla pana dowód, wykazujący jasno jak na dłoni, że na próżno się pan martwi, opłakując nieboszczyka, gdyż syn pański wcale nie umarł, lecz żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju! Nie mogę po prostu słuchać dłużej tych bredni! Co pana opętało!?

— Co? Powiem panu. Ile palców u nóg ma człowiek?

— Dziesięć oczywiście — ryknął. Jest pan chyba niespełna rozumu, skoro zadaje tak głupie pytania?!

Ton jego odpowiedzi przekonał mnie, że nie wiedział nic o osobliwej budowie nóg Huntera.

— Pytanie nie jest tak naiwne, jak się panu wydaje. Wiadomo bowiem, że Small Hunter ma, a raczej miał, po sześć palców u każdej nogi.

— Jak to? Sześć palców? — zapytał zaskoczony, patrząc na mnie szeroko rozwartymi oczami. Była to nie znana i bardzo istotna okoliczność.

— Tak, po sześć u każdej nogi. A ponieważ był uderzająco podobny do pańskiego Jonatana, pan zaś patrzył na twarz, a nie na palce u nóg, przeto zgoła zbytecznie opłakiwał sir śmierć swego syna. Osobiście pogrzebał pan trupa i nie zauważył nawet, że miał dwanaście palców?

W odpowiedzi rzucił przekleństwo.

— To szczególne! Nic pan o tym nie wiedział, a jednak Uled Ayarzy znali dobrze tę osobliwość, gdyż nazywali nieboszczyka nie inaczej, jak Abu tnasz Ssabi, Ojciec Dwunastu Palców u Nóg.

Z wysiłkiem powstrzymywał okrzyki zdumienia czy też wściekłości, które mu się wydzierały z gardła, i wreszcie dał upust swym uczuciom w gwałtownych ruchach głowy.

— A omylił się pan — kontynuowałem — nie tylko co do osoby nieboszczyka, ale także co do rodzaju śmierci. Otóż samobójstwo jest wykluczone. Odgrzebaliśmy zwłoki i poddaliśmy sekcji. Kula przeszła na dół z lewej strony i utkwiła w siódmym żebrze.

Taki strzał mógł paść jedynie z lewej ręki samobójcy, nigdy z prawej. Jednak lewa ręka nieboszczyka nie mogła w żadnym razie utrzymać rewolweru, a zatem nie zabił się sam, lecz został przez kogoś zabity, czyli za–mor–do–wa–ny.

— Któż by go miał zamordować?

— Ten, kto był przy nim w chwili zabójstwa.

— Ja byłem!

— Pan? Hm, mister Melton, to nie przedstawia pana w zbyt dobrym świetle!

— Brednie! Czy sądzi pan rzeczywiście, że byłbym w stanie zabić własnego syna, jedynaka?

— Nie był pańskim synem.

— Ale uważałem go za takiego!

— Uważał pan? Istotnie? A może się pan i w tym myli? Ale gdyby nawet tak było, Tomaszu Meltonie, nie wahałbym się — znam pana bowiem dobrze — posądzać o dzieciobójstwo, i jednak oświadcza pan z prawdomówną miną, że nie jest sprawcą tej zbrodni, muszę więc poszukać kogoś inna go. Mam na myśli osobnika, który napisał list z Tunisu do Egiptu. W liście tym rzekomo przyjaciel Smalla Huntera, adwokat Fred Murphy, zaprasza go do przyjazdu do Tunisu. Czy wie pan coś o tym liście?

— Nie, nie, nie! — wrzasnął.

— A może zna pan kupca nazwiskiem Musah Babuam, któremu miały być przesłane pewne dokumenty?!

— Nie, nie!

— A może handlarza koni, Bu Marama ze wsi Zaghuan, w której domu pański syn miał potajemnie mieszkać aż do pana powrotu?

Chciał się podnieść mimo więzów, ale natychmiast zwalił się i zawołał z pianą na ustach:

— Jest pan w sojuszu ze wszystkimi diabłami! Plecie brednie tylko po to, aby mnie dręczyć. Ale nie myślę więcej odpowiadać, choćbym został na śmierć zatłuczony! Bądź przeklęty, czarcie!

Teraz wreszcie zrozumiał, że wiem o wszystkim. Aby mu to lepiej wyklarować, udałem się po jego syna, który był dobrze strzeżony i jeszcze nie widział się z ojcem. Uwolniłem mu nogi, tak że mógł chodzić i zaprowadziłem do starego.

Jonatan Melton mógł się spodziewać, że dojdzie do konfrontacji, więc przygotował się do tego spotkania. Chciał wszak uchodzić za Smalla Huntera. Tak samo ojciec pragnął utrwalić to przekonanie i zamierzał jak najdłużej trwać w swej roli. Wprawdzie dowiedział się ode mnie, że plan jego został przejrzany, jednakże wolał wypierać się w żywe oczy, niż przyznać do winy. Stary był nie w ciemię bity i za bardzo kuty na cztery nogi, aby wskutek oszołomienia popełnić kolejny błąd, tym bardziej, że nietrudno było wywnioskować z rozmowy o moich stosunkach z jego synem. Podałem wszak fakty, o których mogłem się dowiedzieć wyłącznie od Jonatana. A zatem patrzyli na siebie ze zdumieniem, lecz nie wyrzekli ani słowa.

— No, znacie się, panowie? — zapytałem.

— Naturalnie, że się znamy odparł Tomasz Melton, wykrzywiając spuchniętą twarz w wyrazie wielkiego triumfu.

— Tak? Wyśmienicie się składa! W takim razie niech pan powie, kim jest ten młody człowiek?

— To Small Hunter, z którym syn mój przez jakiś czas podróżował.

— Pięknie! A pan, młody człowieku, powiedź, kim jest ten jeniec?

— Jest to Tomasz Melton, ojciec mego dawnego towarzysza podróży odpowiedział zagadnięty.

— Dobrze się umówiliście! Z punktu widzenia zaplanowanego łajdactwa należy się wam najbardziej pochlebne świadectwo. Lecz ja też co posiadam: treść tego pisma udaremni całą waszą przebiegłość i upór.

— Cóż to takiego? — zapytał ojciec.

Wyciągnąłem pugilares Jonatana rzekłem:

— Dowie się pan jeszcze o tym, Tomaszu Meltonie. Pokażę wam także wkrótce przywłaszczone przez pana rzeczy Smalla Huntera.

— Niech je pan pokaże! — roześmiał się.

— Odnajdę je szybko, zobaczy pan.

— Niech pan szuka, gdzie chce, ale mnie zostawi wreszcie w spokoju!

Odwrócił się, na ile pozwoliły mu pęta. Uważałem, że na razie śledztwa było dosyć. Ponieważ nie chciałem, aby jeńcy zostali razem, gdyż mogli się porozumieć, kazałem odprowadzić z powrotem młodego Meltona.

Nie ulegało wątpliwości, że Toma Melton ukrył gdzieś rzeczy Huntera. Ale gdzie? Wykrycie tego było zadaniem dosyć trudnym. Liczyłem na pomoc i przenikliwość Winnetou i Emmery'ego. Przede wszystkim jednak trzeba było sporządzić dokument o sekcji zwłok Huntera. Papier znalazł się w pakach Krüger–beja. Akt został napisany w języku angielskim i arabskim i podpisany przez nas wszystkich. Krüger–bej i szejk przypieczętowali podpis swoimi sygnetami. Miałem nadzieję, że dokument będzie uznany za prawomocny w Stanach Zjednoczonych.

Chcieliśmy się już zabrać do szukania rzeczy Huntera, gdy zatrzymał nas szejk:

— Spełniłem swoją powinność. A teraz proszę, abyście i wy uczynili, co do was należy.

— Co masz na myśli? — zapytałem.

— Miałeś nam wydać Uled Ayunów.

— Dostaniesz ich pod warunkiem, że zgodzisz się na okup.

— Godzę się. Przyprowadźcie ich tutaj! Ja tymczasem zwołam zgromadzenie starszych, które oznajmi Ayunom nasze warunki.

Czułem, że czeka nas teraz ciężka prawda. Okazała się o wiele cięższa, niż przypuszczałem. Ayuni uważali, że sto wielbłądzic za jedno życie ludzkie to za wiele, stanowczo za wiele. Sądzili, że ustąpimy, więc targowali się, dopóki nie zrozumieli, że stanowczo będziemy obstawać przy naszych warunkach. Ulegli, gdy usłyszeli oświadczenie szejka, że umrą jeszcze przed północą, jeśli będą się dłużej ociągać;'

Aby nie tracić czasu, wysłano dwóch Uled Ayarów z poselstwem do Uled Ayunów. Mieli zawiadomić ich o tym, co się zdarzyło i co uchwalono. Posłom nie groziło żadne niebezpieczeństwo, gdyż są nietykalni według zwyczaju wszystkich plemion beduińskich.

Dla Elatheh rzeczywiście wyjednałem sto wielbłądzic. Ponieważ Krüger–bej zapewnił ewentualną pomoc wojskową przy ściąganiu okupu, więc była pewna, że je otrzyma. Przyszła do mnie ze swym „panem i władcą" podziękować za uratowanie życia i za przyrzeczone bogactwo.

Mąż jej był człowiekiem ubogim. Posiadał tylko odzież, którą nosił na sobie, a składała się ona z koszuli bez rękawów i z chusty na głowę. Mimo ubóstwa przemówił do mnie tonem co najmniej księcia:

— Effendi, uratowałeś od śmierci moją żonę i dziecko i oto twoja dobroć zapełni mój namiot bogactwem, którego zresztą jeszcze nie widzę. Moje serce jest przepełnione ogromną wdzięcznością. Wiedz, że otoczę cię szczególną opieką, póki pozostaniesz z nami.

Rozporządzaliśmy wojskiem liczącym czterystu jeźdźców, nie przypuszczałem więc, aby mogła mi się przydać opieka biednego Ayara. A jednak nie ma istoty tak słabej, małej i lichej, aby można było odrzucać jej przyjaźń.

Teraz mieliśmy dosyć czasu, aby odszukać rzeczy Smalla Huntera, lecz godzina była już późna. Pertraktacje z czternastoma Ayunami trwały tak długo, że upłynął dzień i zbliżał się wieczór. Nie pozostawało nam nic innego, tylko odłożyć poszukiwania do następnego dnia.

Nie spieszyliśmy się zresztą. Obaj Meltonowie byli dobrze strzeżeni — przy starym czuwali dwaj kawalerzyści, którzy zmieniali się co dwie godziny, młody wraz z jeńcami Ayunów był pilnowany przez Ayarów.

Tomasz Melton zostanie odwieziony do Tunisu i tam jako zdrajca osądzony i stracony. Rodzaj śmierci będzie zależał od orzeczenia baszy. Natomiast nie było w pełni wiadome, co się stanie z jego synem. Ponieważ spiskował wraz z ojcem, był zatem współwinowajcą, a więc należało się w każdym razie spodziewać, że także poniesie jakąś karę.

Ubolewałem z całego serca, że nie potrafiłem uratować Smalla Huntera. Pocieszałem się, że obaj Meltonowie zostali unieszkodliwieni. Byłem przekonany, iż rodzina Voglów bez przeszkód wejdzie w posiadanie spadku. Kiedy sobie wyobraziłem radość tych ludzi, musiałem uznać wszystkie swoje trudy za niewspółmiernie drobne.

Tymczasem podczas dnia wojownicy Ayarów i nasi żołnierze przygotowali uroczystą ucztę pokoju, która miała się odbyć wieczorem. Według zwyczajów arabskich żadna uroczystość, żadne ważniejsze zdarzenie nie może się obejść bez hucznej biesiady.

Nasi żołnierze mieli znaczne zapasy suchej żywności. Ayarzy umieścili za wąwozem niewielką, przeznaczoną dla potrzeb wojska trzodę, która została w ciągu dnia przyprowadzona do obozu. Mieliśmy więc dosyć mięsa mąki, daktyli i wiele innych produktów. Wody też nie brakowało, gdyż w wąwozie — zapomniałem nadmienić — biło źródło, które skłoniło Ayarów do rozłożenia tam obozu jeszcze przed naszym przybyciem. Światła nie mu sieliśmy zapalać, ponieważ księżyc wkrótce wypłynął i świecił jasno.

Pomijam bez szkody dla czytelnika opis uczty. Beduin jest w najwyższym stopniu wstrzemięźliwy, ale w szczególnych okolicznościach potrafi pochłaniać wprost zadziwiającą ilość wszelakiego jadła. Nie myślano o oszczędności — wszak wiedziano, że wkrótce nadejdą wielkie trzody Ayunów.

Wrzawa i ożywienie ucichły dopiero po północy.

Zanim się położyłem, obszedłem obóz i odwiedziłem obu Meltonów Sprawdziłem, że znajdowali się pod pieczą wartowników. Kiedy wróciłem do namiotu, zobaczyłem siedzącego przed nim Beduina, w którym rozpoznałem męża Elatheh.

— Co tu robisz? zapytałem.

— Czuwam, effendi — odpowiedział.

— Trud twój zbyteczny. Połóż się spać!

— Effendi, jeśli będę spał w dzień, w nocy będę mógł czuwać. Jesteś pod moją opieką.

— Ależ człowieku, nie potrzebują jej wcale!

— Skąd wiesz? Tylko Allach może to wiedzieć! Mam ci tyle do zawdzięczenia, ale jestem tak ubogi, że nie mogę tobie nic podarować. Wyświadcz mi łaskę i pozwól czuwać! Wszak nie stać mnie na nic więcej!

— No, więc dobrze. Nie chcę zasmucać cię odmową. Niech Allach będzie z tobą, mój strażniku i przyjacielu!

Podałem mu rękę i wszedłem do namiotu.

Winnetou był także zmęczony, gdyż nocy poprzedniej nie spał dłużej niż ja. Wkrótce zasnęliśmy. Około trzeciej po północy przebudził mnie okrzyk poza namiotem:

— Kto tam? Wróć!

Zacząłem uważnie nadsłuchiwać.

Winnetou zerwał się również.

— Wróć! — zabrzmiało po raz drugi.

Wybiegliśmy z namiotu. Mój przyjaciel i strażnik zarazem stał i wsłuchiwał się w nocną ciszę. Księżyc zaszedł.

— Co się zdarzyło? zapytałem. Siedziałem przy drzwiach i czuwałem — odpowiedział. Nagle zauważyłem jakiegoś człowieka, który czołgał się na brzuchu. Kiedy zawołałem, szybko zniknął. Podniosłem i obszedłem namiot. Z drugiej strony zobaczyłem innego, który również zerwał się i uciekł.

— A może to były zwierzęta?

— Jakie zwierzęta! To byli ludzie, którzy przyszli tutaj w złych zamiarach.

— Nie sądzę. Jesteśmy wśród przyjaciół.

— Wiesz na pewno? Allach tylko może wiedzieć! Ale wróć do namiotu i śpij spokojnie. Czuwam nad tobą.

Wróciłem do namiotu pewny, że Beduin się omylił. Winnetou był tego samego zdania.

Wkrótce zmorzył nas sen. Lecz po godzinie obudził nas nowy zgiełk. Chwyciliśmy za broń i wyszliśmy z namiotu.

Na wschodzie rozlało się światło jutrzenki. Rozjaśniło się całkowicie. Pierwszym, którego zauważyłem, był Krüger–bej. Biegł do nas krzycząc:

— Jeńcy uciekli, zabierając trzy wielbłądy!!

— Jacy jeńcy? Mamy rozmaitych: Meltonów i czternastu Ayunów. O kim pan mówi?

— Nie Ayuni…

— A zatem Meltonowie? Do pioruna! Musimy pędzić za nimi! Pańscy ludzie biegając zacierają ślady. Niech pan rozkaże, aby każdy zatrzymał się w miejscu, na którym stoi!

Rozkaz został ogłoszony iście gromkim głosem, po czym zapanował zupełny spokój. Szejk i Emery przybiegli także, wtedy Krüger–bej opowiedział: Kiedy dwaj strażnicy przyszli przed dziesięciu minutami zastąpić swoich kolegów, nie zastali już kolorasiego Meltona. Jego więzy leżały na ziemi obok martwego strażnika. Pierś ma przebitą nożem.

— Czy nieboszczyk jeszcze tam leży? — zapytałem.

— Tak.

— Chodźmy.

Na ziemi leżał biedny człeczyna. Klinga dotarła do samego serca. Nie zdążył zapewne nawet słowa powiedzieć, nawet krzyknąć. Najdziwniejsze jednak było to, że dopiero po tym odkryciu spostrzeżono nieobecność młodego Meltona. Poza tym zniknęły trzy najlepsze wielbłądy.

Winnetou nie rozumiał ani słowa. Spojrzał na mnie pytająco. Wyjaśniłem mu to nowe, niespodziewane zdarzenie. Opuścił głowę, myślał przez chwilę, po czym rzekł:

— Jeden ze strażników nie żyje. Gdzie jest drugi?

— Zwiał! — odpowiedział Krüger–bej, któremu przetłumaczyłem pytanie.

— A zatem był w zmowie z Meltonami! — rzekł Apacz. — I dlatego właśnie Melton powiedział, że nie jest tak bezbronny, jak przypuszczasz.

— Słusznie — potwierdziłem. — My obaj dzięki przezorności naszego strażnika uniknęliśmy wielkiego niebezpieczeństwa. Meltonowie podkradli się do naszego namiotu, aby się zemścić, zostali jednak przepędzeni przez tego dzielnego człowieka.

— Musimy ich ścigać!

— Tak, i to natychmiast. Niestety, zabrali najlepsze wielbłądy. Trzeba się zadowolić gorszymi.

Zakomunikowałem Panu Zastępów nasze postanowienie i prosiłem, aby wyszukał trzy najszybsze zwierzęta i zaopatrzył nas w żywność i wodę na kilka dni.

— Tylko trzy? Dlaczego nie więcej?

— Ponieważ pojedziemy tylko we trzech — ja, Winnetou i Emery.

— A ja nie?

— Nie. Masz inne obowiązki. Musisz zostać przy wojsku.

Kiedy rozmawialiśmy ze sobą po niemiecku, mówiliśmy do siebie przez pan, ale po arabsku tykaliśmy się, ponieważ odpowiada to bardziej duchowi tego języka.

— W takim razie dam wam kilku dzielnych oficerów i żołnierzy.

— I na to się nie godzę. Cała nadzieja w pośpiechu. Zbyt wiele osób może być tylko przeszkodą. Skoro my trzej dosiądziemy najlepszych wielbłądów, inni wnet pozostaną za nami i nie przydadzą się. A więc będzie lepiej, abyśmy pojechali tylko we trzech. Nakaż swoim podwładnym pośpiech!

Spełnił moją prośbę. Winnetou wyszedł z namiotu i badał ślady. Wrócił i wkrótce oznajmił:

— Pojechali na północ.

— A zatem w kierunku Tunisu! — wykrzyknął Krüger–bej. — Można to było przewidzieć.

— Nie — odpowiedziałem. — Mogę się założyć, że nie jadą do Tunisu, ponieważ nie jest do dla nich miejsce bezpieczne. Tam znają Meltona i gdy przybędzie pościg, sprawa może wziąć dla nich zły obrót.

— Ale wiesz przecież, że chciał jechać do Tunisu.

— Chciał, owszem, ale teraz już nie chce. Wówczas warunki były inne. Teraz wie dobrze, że Emery, Winnetou i ja natychmiast puścimy się za nim w pogoń i będziemy ścigać do samego Tunisu. Tego jest pewien. I wie również, że jeśli nie znajdą statku, bezzwłocznie wypływającego na morze, to marny ich los. O nie, nie pojedzie do Tunisu, tylko do portu w zatoce Hammamet.

— Lecz Winnetou powiedział, że pojechali na północ! — wtrącił Krüger–bej.

— To prawda, lecz Melton nie wywiedzie mnie w pole. Przez dłuższy czas żył wśród westmanów i myśliwych, zna więc fortele prerii, aczkolwiek nie jest w nich mistrzem. Zamierza wyprowadzić nas na manowce i dlatego z początku pojechał na północ, żebyśmy go ścigali w tym kierunku. Później, na terenie twardym, nie zachowującym śladu wielbłądów, zboczy na wschód.

— Lecz w Tunisie zdobyłby pieniądze. Tu, w zatoce Hammamet, nie ma takiego człowieka, od którego mógłby coś wydostać.

— Na co mu pieniądze? Przede wszystkim syn jego ma nieco gotówki. Nie odebrałem mu, ponieważ nie spodziewałem się takiego obrotu rzeczy. Po drugie, Small miał przy sobie zapewne większą kwotę.

— Ale nie posiada jej Melton! Wszak przy rewizji nic nie znaleziono.

— Na pewno gdzieś schował i zabrał, zanim uciekł. Oto już i nasze trzy wielbłądy osiodłane i objuczone. Możemy wyruszyć w drogę.

— Kiedy wrócicie?

— Kiedy ich schwytamy.

— Nie bądźże zbyt zadufany w sobie! Pomyśl, że mają zwierzęta bardziej rączе i że wyprzedzili was o szmat drogi.

— To prawda. Stracimy także wiele czasu na tropienie śladów, podczas gdy oni będą jechać wciąż naprzód, nie oglądając się za siebie. Ale mimo to schwytamy ich, możesz na nas polegać. A jeśli nie tu, to już na pewno w Ameryce.

— Maszallah! Aż tak daleko zamierzacie ich ścigać?

— Tak daleko, aż ich schwytamy.

Ale jeśli się wam tutaj nie powiedzie, to wszak przed opuszczeniem kraju wpadniecie do Tunisu?

— Nie możemy tego przewidzieć. Bądź co bądź wielbłądy otrzymasz z powrotem. Przyrzekam ci to.

— Drobnostka! Byleby tylko łajdaki nie uciekły! Czy znasz drogę do zatoki Hammamet?

— Stąd nie znam, ale wnet znajdziemy. Naszym przewodnikiem, i to doskonałym, będą ślady zbiegów. Zaprowadzą nas prosto do celu.

Okoliczności nie pozwalały nam na długie pożegnanie. Po kilku minutach rozstaliśmy się.